№ 34. Warszawa, dnia 23 (11) Sierpnia 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

CZESKIE ODWIEDZINY.

Zaledwie kilkanaście lat temu, gdy czesi robili inną wycieczkę, nikt nie przypuszczał, że kiedyś dwa bratnie narody uścisną sobie ręce bodaj na znak spółki politycznej, bodaj dla niegorszenia świata widokiem rodzinnej waśni. A jednakże dziś!.. Nie chcemy mącić radosnej biesiady krakowskiej wskrzeszaniem wspomnień przykrych, zaznaczamy tylko ogólnie dla podkreślenia faktu, że sojusz polsko-czeski w Austryi, niedawno jeszcze nieprzewidywany i niemożliwy, później kruchy i sztuczny, zaczyna teraz wiązać się nićmi szczerej serdeczności. Sama myśl przybycia „sokolników" z Pragi do Krakowa gromadą była bardzo szczęśliwa, bo zetknęła z sobą dwa ludy liczniej i dała sposobność do szerszego wylewu uczuć. Jak nam i innym pismom donoszą korespondenci, odwiedziny przybrały charakter uroczystego święta. Gości czeskich przyjęto na dworcu entuzyastycznie, przeprowadzano do rozmaitych instytucyj i miejsc pamiątkowych w tłumnych pochodach, przyjmowano ucztami, przyczem, naturalnie, powiewały chorągwie, brzmiały wysoko napięte lub rozrzewniające mowy, toasty, a nawet... śluby i przysięgi. Cały ten akt nie jest zwykłą wizytą sąsiedzką, ale jak gdyby pojednaniem, weselem małżeństwa, żyjącego dotąd w separacyi i od lat kilku pod natchnieniem wyższych celów splatającego swój naderwany związek. Nawet ci, co nie wyrażają tego głośno, czują mniej lub więcej świadomie, że w Krakowie odbywa się jakieś zacieranie uraz, grzebanie nieporozumień.

Uczestnicy wszelkich tego rodzaju biesiad ulegają zupełnie ich nastrojowi i ufają wzajemnym swoim zapewnieniom, ale odleglejsi, chociaż również zainteresowani świadkowie mogą i powinni patrzeć krytyczniej, a w tym wypadku nadewszystko zapytać: czy te „przysięgi" będą trwałe, czy nie przebrzmią z ostatnimi odgłosami toastów? Pytanie to zwracamy do stron obu: czechów i polaków. Byliśmy zawsze szczególniejszymi zwolennikami ich przymierza, które dotąd w działaniu politycznem na gruncie Austryi nie uwydatniło się należycie. Czesi, zręczniejsi od swych braci politycy, zakrywali nieraz urazę pozorami grzeczności; galicyanie, mniej roztropni i popędliwsi, odsłaniali swe pretensye jawnie, skarżąc się na egoizm swych pobratymców. Egoizm ten jest niewątpliwym i nigdy nie bywa przyjemnym, ale niechże ktokolwiek odważy się utrzymywać, że on w życiu czechów nie był koniecznym, że oni mu w wielu kierunkach nie zawdzięczają ocalenia swej narodowości i ważnych zdobyczy! Polityka miłości bliźniego ma dużo pięknych uroków, ale często rzuca jagnię w paszczę wilka. Każde społeczeństwo winno czcić i piastować idealne postacie stosunków ludzkich, ale żyć musi tylko w realnych. Gdyby czesi, naśladując Sobieskiego, biegli ustawicznie na odsiecz niemieckiego Wiednia, zyskaliby chwałę rycerską, ale może dotąd ich dzieci nie uczyłyby się w szkole rodzinnej mowy. Samolubstwo, zresztą niekrzywdzące innych ludów, utrzymywało ich w ciężkich warunkach, nadało im tę konsekwencyę, ten żelazny upór w obronie swej narodowości, który służyć będzie zawsze jako wymowny przykład dla innych. Ich ogień walki nie stopił, lecz zahartował.

Oprócz tego wzoru, oprócz wielu pierwiastków dodatnich, spoczywających w literaturze i życiu czechów, posiadają oni jeden niezmiernie ważny, który przy większem ich zbliżeniu się do galicyan mógłby na tych ostatnich oddziałać szczęśliwie. Mówimy tu o pojęciach społecznych. Czesi są narodem ludu, ludu oświeconego, rozwiniętego, dojrzałego, niewodzonego na smyczy przez wynaturzonych i pochłaniających jego siły magnatów, galicyanie są narodem szlachty i księży, ogłupiających lud i spychających go do nędzy. Ściślejsze stosunki dwu tak odmiennie różnych społeczeństw, z których jedno ma bogatą literaturę, a drugie — wysoki rozwój społeczny, zapewniają dla obu niewątpliwe korzyści.

Telegraf zaznaczał w pismach warszawskich każdy szczegół przyjęcia czechów w Krakowie. Tym razem drut nie pracował daremnie, bo jego wiadomości odbijały się sympatycznem echem i składały rękojmię braterskiej pracy dwu narodów, które nietylko krew połączyła, ale którym los wskazał wspólną drogę. Po za niemcami, których siła uległa znacznemu rozkładowi, w Austryi galicyanie i czesi stanowią żywioł przeznaczony do odegrania roli naczelnej. Wszelkie więc między nimi swary osłabiają go i otwierają gospodarce germańskiej swobodne pole.

Przez Kraków przedefilowało już dużo jubileuszów, często bezpłodnych i sztucznie rozdętych, dawno wszakże nie odbyła się tam biesiada skromniejsza w założeniu, a pożyteczniejsza w skutkach. Dołączamy też do innych i nasze dla czeskich gości szczere pozdrowienie.

BRAK PRZEWODNIKÓW.

Trzy lata temu kraj cały ze drżeniem, ale z dobrą otuchą w sercu oczekiwał rezultatów walki wyborczej w ziemiach polskich, należących do pruskiej korony. Zapał ogarniał wszystkich, chorzy kazali nieść się do sal z urnami, aby spełnić obywatelską powinność. Jakoż polacy zdobyli 17 krzeseł od razu, a w pięciu jeszcze powiatach mieli ponownie współzawodniczyć

z niemcami. Zdawało się wtedy, że ten tryumf, te okrzyki radości i nadziei, staną się trwałą zachętą na przyszłość. Walne zwycięstwo powinno było wywołać nowe siły, natchnąć wytrwałością, chociażby najbardziej zmordowane piersi. Tymczasem wobec dzisiejszych wyborów do sejmu rzeszy niemieckiej widzimy w rodakach naszych niespodziewane jakieś omdlenie, czy upadek ducha. Ci, co przykładem swojm powinni ogół zachęcać do pracy i walki, pierwsi opuszczają ręce. Sześciu z dotychczasowych przedstawicieli Księstwa odmówiło przyjęcia mandatów na przyszłość; od spełnienia podobnego obowiązku usunęli się również ks. Janiszewski, August Cieszkowski, Kazimierz Jarochorowski. Dlaczego?

Ciężką jest służba poselska w Prusach, gorzką — dola Koła polskiego, skazanego siłą konieczności niemal na same klęski. Popychane mistrzowską ręką żelaznego kanclerza, większe parlamentarne grupy w Berlinie nie zasługują na zaufanie; skupując głosy dla opozycyi, gotowe są w każdej chwili pastwić się nad sprzymierzeńcami, gdy im tylko interes Bismarka pozwoli (często każe) wywierać wpływ na sprawy państwa. Fatalne przykucie do mniejszości nie może zapewnić donioślejszych korzyści. Jedynie możebny i trwalszy sojusz udało się zawrzeć z katolikami. Ale trzeba było tanio oddawać, a drogo opłacać wszelką pomoc! Za wątpliwe współczucie, za możność podniesienia głosu, trzeba było narazić siebie i naród cały na wytykanie palcami w Europie, na piekące szyderstwo: to wierne sługi reakcyi! A co czeka poznańczyków, jeżeli ultramontanizm w Niemczech wedrze się na wyżyny wpływów rządowych! Katolicki Meternich i pod względem zapału i talentu przewyższał protestanckiego Falka w tępieniu słowiańskiego żywiołu. Dziś ksiądz opiera się naporowi landratha i inspektora szkolnego, a czy nie straci sił i nie zmieni kierunku działalności, gdy giermanizm pozyska błogosławieństwo włoskie. Czy też członków Koła polskiego w Berlinie nie trapi nieraz myśl, że może w jęku podwójnie gnębionego narodu, brzmieć kiedyś będzie skarga i na nich? Czy im nie nasuwa się przypuszczenie, że może w tych upokorzeniach, znoszonych dla kraju, tkwi zarodek trucizny, dla tego, co najwięcej kochali?

Każda ustawa, chociażby jedno jej ostrze wyrównywało prawodawcze wyboje na zachodzie, drugiem zadaje zawsze rany wschodnim krańcom państwa. Kraj pamięta tylko o tem, co go boli najwięcej, co mu najbliżej serca leży, dlatego wypowiada swoje życzenia, wyraża chęci wyłącznie w sprawach religijnych i narodowych. Jakie też trudne zadanie ma do rozwiązania Koło polskie przy głosowaniu nad każdą ustawą prawną lub ekonomiczną? Wskazówek nie posiada żadnych, pogorszenie nieuniknione, a należy utrzymać jedność pomimo różnicy zapatrywań, należy radzić się nie zdania, nie przekonania, nie zasad, ale lawirować tak, aby pozyskać względy jakiego stronnictwa dla zupełnie innej sprawy, chociażby ono w danym razie wychodziło z najwstrętniejszego punktu. Czy wobec tego można pozyskać zaszczytne stanowisko u obcych i gorące uznanie u swoich?

W takich to warunkach pracują moralnie nieskażeni dotąd posłowie polscy do sejmu berlińskiego; taki to ogień nieuniknionych niepowodzeń łamie im siły.

Powstaje więc pytanie, czy należy brać za złe uchylającym się od dalszej służby przedstawicielom Poznańskiego; czy należy się dziwić, jak to robią niektóre dzienniki, ludziom, którzy nie chcą przyjąć nowoofiarowanych mandatów?

Nam, patrzącym zdala, trudno jest wydawać sąd stanowczy. Nie wiemy dobrze, dlaczego mianowicie podnoszą się głosy, żądające, aby pp. Kurnatowski, Skarzyński i inni pozostali nadal posłami. Czy panowie ci uważani są za talenta *niezbędnie* tam potrzebne i niedające się zastąpić, czy też, w razie usunięcia się ich opróżnione miejsca zdobędą niemcy?

W pierwszym wypadku nie możemy powiększać liczby głosów elegijnych. Rejterujący posłowie stwierdzają sami, że są „krwią zużytą“ — jak ich ktoś nazwał — że trudnym obowiązkom podołać nie mogą, że ustępują role swoje godniejszym. Dobrowolne zrzeczenie się zaszczytnego posterunku dla innych powinno być w takim razie poczytane za czyn istotnie obywatelski. Nie odmawiamy żadnemu członkowi Koła uznania szczerych i dobrych chęci, nie zapominamy ani o jednej trudności, zdaje się nam przecież, że gdyby w łonie jego znalazł się prawdziwie wielki talent polityczny, usiłowania polskiej reprezentacyi uwieńczyłyby się lepszem niż dotąd powodzeniem. W sprawach ogólnie państwowych polacy zajęliby niezawodnie stanowisko korzystniejsze materyalnie i podnioślejsze moralnie. Gdyby w głosie skargi, zamiast dotychczasowego, płaczliwego lamentu, zabrzmiała z całą mocą wymowy i uczucia zgroza ucisku narodowego, głos ten trafiłby jeżeli już nie do sumienia germańskiego, to przynajmniej do serca innych społeczeństw. A talentów podobnych szukać trzeba w kraju po za dotychczasowem Kołem.

Jeżeli wszakże zachodzi drugi wypadek, jeżeli miejsca ustępujących zyskać mają niemcy, to postanowienia swego posłowie usprawiedliwić nie potrafią ani bezpłodnością usiłowań, ani zmęczeniem, ani nawet brakiem względności u swoich. Zagrożonego wyłomu nie opuszcza się dobrowolnie nigdy. Wygraną nie jest tylko odniesiona korzyść, lecz także i możliwie najmniejsza strata. Z niebardzo dawnych czasów naszej historyi można wskazać zniechęconym przykład wytrwałości aż do ostatniej chwili na stanowisku stokroć bardziej zagrożonem, przy warunkach o wiele trudniejszych. Obowiązki nawet wtedy, gdy są trudne, nie przestają być obowiązkami.

Bądź co bądź, częściowa kapitulacya załogi polskiej w Berlinie jest zawsze przykrą, świadczy bowiem o niemocy tego od-

NA WIOSNĘ.

Pozostawmy panią Helenę w dobranem towarzystwie mistrzów wszelkich krajów i narodów; sami zaś przejdźmy do jednej z dalszych ulic miasta, do mieszkania Ludki, owej szwaczki, która zajęła mimowiednie panią Zygmuntowę. Mieści się ono w tym niskim domku o dachu wysokim i dość brudnych ścianach, jak wszystkie prawie inne domostwa na tej ulicy. Nad dziedzińcem wznoszą się długie sznury, okryte białemi płachtami bielizny. Kolorowe fartuchy i granatowe bluzy męskie przerywają od czasu do czasu tę jednostajność białą. Cicho tu — gwar miejski nie dochodzi prawie; ulice, domki i ludzie wyglądają powszednio, jak powszednią jest praca.

Ludka siedzi w swym niskim i ciasnym pokoiku, obwieszonym kaftanikami i spódniczkami już wykończonemi; maszynka do szycia stoi przed jej krzesełkiem. Z przyzwyczajenia chyba musiała tam usiąść, bo zbyt delikatną robotę ma w ręku, same muśliny i koronki; maszyna więc odpoczywa. Ludka za to ani marzy o żadnym odpoczynku; cieszy się przeciwnie, że ma teraz tak dużo roboty; z zajęciem nawet pewnem układa pliski i wszywa koronki. Wesoła piosenka wyrywa się z pół przymkniętych ust dziewczyny, a rumieniec młody i gęsty oblewa ciągle jej okrągłą twarzyczkę.

— Ładnie pewno będzie tej wysokiej pani — myśli sobie Ludka — w białym muślinie i koroneczkach, ale co też tu zakładek... jedna, dwie, trzy, cztery — po dziesięć z każdej strony. Mój Boże, gdyby to policzyć wszystkie te, które zakładały moje ręce aż do dnia dzisiejszego, i gdyby zszyć je wszystkie razem — toby już ziemię chyba opasać niemi można. A ziemia przecież szeroka, jak to pan Leon ślicznie kiedyś opowiadał.

Zamyśliła się na chwilę, twarzyczka jej posmutniała trochę; oczy oderwały się od roboty i prześliznęły po ścianach pokoiku, biegnąc ku oknu. Okienko szwaczki wychodzi na ciasny dziedzińczyk, noszący ustawicznie niezatarte ślady zajęć lokatorów. Od jednego rogu dochodzi właśnie zapach skóry; w drugim kącie płyną strugi białe, pieniące się mydłem; stary Szymon w brudnym fartuchu obmywa swoją płową dorożkę, a zamorusane dzieciaki kołyszą się na końcu dyszla; Jakubowa, z drągiem w ręku, zdejmuje właśnie bieliznę, obnażywszy po łokcie swe ręce grube i czerwone; kury srokate i żółte, z nogami nisko obrosłemi, grzebią się w kupie mokrego śmiecia. Cały ten obrazek *à la* Richepin nie wzbudza odrazy w naszej Ludce. Skutek to może przyzwyczajenia, a może dobrej znajomości części składowych tego małego światka — ludzi tych i ich rzeczy. Oczy Ludki zatrzymują się z pewnem zajęciem na Jakubowej, na płowej dorożce, a wesołe usta składają się do śmiechu, gdy patrzy na twarz Szymona, wykrzywioną komicznie przy zmudnem opuszczaniu zesztywniałej budy. Zdaleka widać grzędy, młodą zieleń. Ludka przypomina sobie, jak przez sen, pierwsze lata dziecinne, na wsi spędzone. Dlatego to może dotąd lubi ona drzewa zielone, wodę i powietrze świeże, woniejące żywicą.

— Tak dawno już nie byłam za miastem—myślała dalej; ostatni raz z panem Leonem i z Marysią; nie dobry, jak on się z niej wyśmiewał! Mnie znów za ręce chwytał tam w łódce i pod drzewami; niepozwalałam, ale on nie słuchał. Teraz nie przychodzi, może to i lepiej.

Łza zakręciła się w jej oku. Igła znowu zamigotała szybko w ręku. Usposobienie wesołe nie pozwalało jej długo się smucić; po chwili fiałkowe oczy znowu podniosły się ku oknu, ku gałęziom biał -zielonym czeremchy, zwieszającym się z poza sąsiedniego muru, nad okienkiem sąsiadki; widać tam i teraz pochyloną głowę kobiecą.

— Maryniu — woła Ludka, czy wychodziłaś dziś na miasto?

łamu polskiego, który musi wytrzymywać walkę najcięższą. Ludzi, zdolnych ludzi tam brak! Wycieńczone w ucisku społeczeństwo niezrodziło synów dzielnych.

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ RELIGII

według

H. SPENCERA.

II.

Ze wzrostem inteligencyi przeciwieństwa stają się coraz bardziej wydatnemi. Pomijając znaczne sprzeczności, że wiele rysów boskich nie odpowiada przymiotom boskim gdzieindziej opisanym, że bogu, żałującemu tego co zabił, musi zbywać albo na władzy, albo na przewidywaniu, że jego gniew dowodzi wypadku sprzecznego z jego zamiarami i zarazem wskazuje brak środków — dochodzimy do największej trudności, że takie wzruszenia łącznie z innemi mogą istnieć tylko w świadomości ograniczonej. Idee poprzedzają każde wzruszenie, a te poprzedzające idee przypuszczają zwykle, że istnieją w Bogu. Wyobrażanym on jest jako widzący, słyszący to i owo, a wskutek tego doznający rozmaitych wzruszeń. Pojęcie więc bóstwa, posiadającego takie rysy charakteru, nieprzestaje być antropomorficznem nietylko dlatego, że wzruszenia opisane podobne są do ludzkich, ale także, że one tworzą części świadomości, która, jak ludzka, utworzona jest z następujących po sobie stanów. A takie pojęcie boskiej świadomości nie zgadza się z niezmiennością, ani z wszechwiedzą przyznawanemi gdzieindziej. Bo świadomość, utworzona z idej i uczuć, wywoływanych przez przedmioty i wypadki, nie może jednocześnie zajmować się wszystkimi przedmiotami i wypadkami w całym wszechświecie. Wierząc więc w boską świadomość, musimy wykluczyć z myśli to, co rozumiemy przez świadomość i ograniczyć się wyłącznie do słownych twierdzeń, a te twierdzenia, nieoddające wiernie wyobrażeń, coraz mniej będą nas zadawalać. Rzecz naturalna, że podobne trudności same się nasuwają, gdy mowa o woli boskiej. Dokąd nie nadamy słowu: *wola* określonego znaczenia, możemy twierdzić, że Przyczyna wszystkich rzeczy posiada wolę. Ale gdy od słów przejdziemy do wyobrażeń, powstają trudności. Widzimy, że nie możemy połączyć w świadomości określeń pierwszego twierdzenia tak, jak możemy drugiego. Ktokolwiek wyobraża sobie inną wolę, niż swoją własną, nie może przekroczyć granic własnej swej woli, będącej jedynie wolą bezpośrednio mu znaną. Wszystkie inne wole są tylko przypuszczalne. Wolę, jak to każdemu wiadomo, wywołuje jakiś powód, nagłe jakiekolwiek życzenie. Bezwzględna obojętność znosi pojęcie woli. Nadto, wola, mieszcząc w sobie nagłe pragnienie, dąży do upatrzonego celu a osiągnąwszy go, ustępuje miejsca innej, mającej inne cele. Tak więc wola, jak i wzruszenie każe koniecznie przypuszczać szereg stanów świadomości. Pojęcie o boskiej woli, płynącej z tego samego źródła, co i ludzka, więc zajmującej podobnie jak ona miejsce w przestrzeni i czasie—nie da się pogodzić z wszędzie obecną działalnością, dążącą jednocześnie do nieskończonej liczby celów, bo każde zachcenie wyłącza na chwilę ze świadomości inne. To samo można powiedzieć o przyznanej Bogu inteligencyi. Nie zatrzymując się nad warunkami, które ją ograniczają, również jak i wolę, należy zaznaczyć, że inteligencya jedynie dla nas zrozumiała, każe się domyślać istnień niezależnych odniej i będących po za nią. Objawia się ona pod wpływem zmian, wytworzonych początkowo przez czynniki zewnętrzne. Przedmioty istniejące po za świadomością wywolują wrażenia, a z takich wrażeń powstają idee. Mówić o inteligencyi działającej bez wpływu wszystkich takich zewnętrznych bodźców—jest to igrać bezmyślnemi słowami. Jeżeli zaś powyższe wnioski, że na Pierwszą Przyczynę, uważaną za inteligentną, muszą nieustannie oddziaływać niezależne i będące po za nią czynniki, zbijane bywają tem, że te czynniki stały się takimi przez akt stworzenia, a poprzednio były zawarte w pierwszej przyczynie, wówczas musimy przyjąć, że przed ich stworzeniem nic nie skłaniało Pierwszej Przyczyny do wytwarzania w sobie zmian, składających to, co nazywamy inteligencyą. Musiała więc być nieinteligentną wtedy, gdy inteligencya była najbardziej dla niej pożądaną. Nie możemy zatem zrozumieć przypisywanej bogu inteligencyi, gdyż nie posiada ona żadnej cechy znamiennej.

Te i inne trudności, niektóre z nich często rozbierane, lecz nigdy nierozstrzygnięte, zmuszą w końcu ludzi do odjęcia Pierwszej Przyczynie wyższych antropomorficznych przymiotów — jak to oddawna uczynili z niższymi. Pojęcie, które rozszerzało się od początku, musi rozszerzać się i dalej — aż przeszedłszy wszelkie granice stanie się świadomością, przekraczającą formy wyrażnej myśli, pozostając pomimo to zawsze świadomością.

„Ale ostateczną świadomość Niepojętego, opartą na pewnych danych, jak można było przez stopniowe przemiany wyprowadzić z pojęcia w zupełności błędnego? Wiara dzikich w duchy nie ma podstaw. Cielesne sobotwory ludzi umarłych, w których oni wierzą, nigdy nie istniały. A jeżeli ze stopniowego uduchowienia tych sobotworów powstało pojęcie o nadprzyrodzonym czynniku wogóle; jeżeli pojęcie bóstwa wytworzone przez zatracenie niektórych ludzkich przymiotów a przeobrażenie innych było wypadkową nieprzerywalności tego procesu, czy to pojęcie, podniesione i rozwięte do możliwych granic, nie jest także fikcyjnem? Zapewne, jeżeli pierwotna wiara była bezwzględnie fałszywą i wszystkie z niej wypływające wierzenia muszą być także bezwzględnie fałszywemi."

Zarzut ten wydaje się niezbitym i byłby takim w istocie, gdyby jego założenie okazało się prawdziwem. Dla większości czytelników niespodziewaną będzie nasza odpowiedź, że od samego początku pierwotne pojęcie zawierało w sobie zaród prawdy— tej mianowicie, że władza, objawiająca się samoistnie w świadomości, jest tylko odmiennie warunkowaną formą władzy, objawiającą się samoistnie po za świadomością.

Każdy dowolny czyn był dla pierwotnego człowieka dowodem istnienia źródła energii w nim samym. Chociaż nie zdawał sobie on sprawy ze swych wewnętrznych doświadczeń, lecz nasuwały mu one bezwiednie to pojęcie. Gdy poruszając swymi członkami wprowadzał w ruch otaczające przedmioty, dostrzegał towarzyszące przytem pewne uczucie natężenia mięśniowego. A to uczucie natężenia, będące widocznym poprzednikiem zmian, wywoływanych przez niego, stawało się w jego umyśle domniemalnym poprzednikiem zmian przez niego niewywołanych i nasuwało mu myśli, objaśniające powstawanie tych objektywnych zmian. Naprzód pojęcie muskularnej siły, jako poprzednika niezwyczajnych w koło niego zdarzeń, sprowadza całą grupę, skoja-

---

— Wychodziłam na chwilę, do komisarzowej — odpowiada niechętnie Marynia, zwracając się twarzą ku oknu.

Twarz ta wydaje się bladą, a gałęzie czeremchy rzucają na nią jakiś zielonawy odblask. Nie podobna ona wcale do swej młodziutkiej towarzyszki; znacznie też starszą być musi.

— Maryniu, jak koło ciebie ładnie, wyglądasz jak obrazek na Zielone świątki. Twoja czeremcha zupełnie już rozkwitła. Dziś zrana zbudziłam się od jej miodowego zapachu.

— At, niech sobie kwitnie, kiedy czas na nią przyszedł; co mi tam do tego!

— Widać, że panna Marya w złym dzisiaj humorze — wesoło mówi Ludka.

— Juściż nie będę lada czego się radowała i ręce wznosiła do nieba, jak panna Ludwika.

— Lada czego, no, nie lada czego; ciepło, słonko świeci, zielono na ziemi, wszyscy dobrzy ludzie radują się na wiosnę.

— A no, dzień większy do roboty, w piecach palić nie trzeba, ot i cała nasza wiosna!

— A pewnie, że i to dobrze; ale bo ja teraz nic pomyślałam o tem, a cieszę się, to prawda, sama nie wiem czego. Wesoło mi i radośnie; czasem jak się śmiać zacznę, to się śmieję i śmieję, aż mi wstyd samej siebie.

— A zwłaszcza kiedy pan Leon przychodzi; bo przecież to i do twarzy pokazywać ciągle białe ząbki!

— Nie wstyd też tak mówić, Maryniu — z wyrzutem w głosie odzywa się Ludka.

— Ot tak sobie mówię; rób, co chcesz i śmiej się, ile ci się podoba; ja w cudze rzeczy się nie mieszam — rzecze Marynia.

— Za to ludzie często twoje dawne sprawki przypominają — myśli sobie Ludka, niema jednak serca głośno jej tego powiedzieć.

Tymczasem Marynia odwróciła się i zamknęła okno. Obie robotnice, kwaśna Marynia i Ludka z nadąsaną minką, zagłębiły się w robocie.

* *
*

W parę godzin potem wszystkie zakładki, obrąbki i pliski były skończone; zabrakło tylko koronki do obszycia u dołu.

— Trzeba chyba pójść kupić na miasto. Kto wie, czy później znajdę takie same? — mówi do siebie Ludka.

Wprawdzie i pod wieczór można było to zrobić, ale uśmiechało się jej wybiegnięcie z dusznego pokoju, odetchnięcie powietrznem świeższem, wyprostowanie pleców zgiętych i nóg trochę zdrętwiałych.

— Pójdę prędziutko, niewiele stracę czasu, za pół godziny wrócę — uspokajała siebie młoda dziewczyna.

Zdjęła więc z kołka płaszczyk jasny, kapelusz podszyty niebiesko, zamknęła pokoik swój samotny i jednym tchem zbiegła ze schodków. Lekko i prędko szła wąskim chodnikiem, kołysząc się trochę zręczną figurką. Niejeden z przechodniów wpatrywał się uważniej w miluchną, różową twarzyczkę; nie jeden obejrzał się za nią. Być może, że zajęcie się to wyraźniej jeszcze by się objawiało, gdyby ciekawi pozwalali odgadli, że interesująca ich panienka była tylko — szwaczką!

Magazyny, stanowiące cel wycieczki Ludki, znajdowały się po za znanym nam już parkiem; więc też po chwili wchodziło weń młode dziewczę. W godzinach przedobiednich niezwykła była spacerować tam publiczność miejska; to też Ludka uczuła się w nim po hałaśliwej ulicy dziwnie spokojną i prawie samotną. Samotność ta jednak była różną od tej, wśród której żyła ona dniami całymi. Jak tu dokoła rzeźwo i radośnie, jakie gwary, jakie szmery! Drzewa z lekka tylko szumią, nachylając się ku sobie. Liście, świeżo narodzone, szepcą błogie jakieś nowiny. Maleństwo skrzydlate śpiewa na wyścigi; a cudna śnieżna dziewczyna, co stoi po nad fontanną, kąpiąc swe ciało marmurowe, położyła palce na ustach i słucha, jak w zaczarowaniu. I Lud-

rzonych z sobą pojęć. Ukryte natężenie uważa za natężenie wywierane przez istotę zupełnie do niego podobną. Z czasem przeobraża się pojęcie o sobotworach ludzi umarłych, którym przypisywano wszystkie wydarzenia, oprócz najzwyklejszych. Uduchowniając się coraz bardziej, niektórzy z nich stają się znaczniejszemi osobistościami, które kierują szeregami zjawisk. Względna zaś prawidłowość tych zjawisk budzi wiarę w istoty o wiele potężniejsze od człowieka, a tem samem mniej zmienne w swych działaniach. Pojęcie więc siły, wywieranej przez podobne istoty, łączy się coraz mniej z pojęciem o duchu ludzkim. Dalszy postęp, stawiając w miejsce niższych nadprzyrodzonych istot jedną ogólną i czyniąc jej osobistość tem bardziej nieokreśloną, im stawała się rozleglejszą—rozdzielał coraz więcej pojęcie objektywnej siły od siły, uznanej za taką w świadomości. Rozdział ten dosięga ostatecznych swych granic w umyśle uczonego, który przypisuje sile nietylko widoczne zmiany czujących ciał, ale wszelkie fizyczne zmiany, a nawet falowanie eterycznego środka. Jednak siła ta (czy będąca w stanie statycznym, gdy materya stawia opór, czy w stanie dynamicznym, objawiając się jako siła) nie przekracza w umyśle jego granic wewnętrznej energii, którą pojmuje jako natężenie mięśniowe. Zmuszony jest, określając siłę objektywną, trzymać się granic siły subjektywnej — z braku innej definicyi.

(D. n.).

Szaweł — Paweł *).

Zdać sprawę z broszury politycznej, obszernej na miarę kilkadziesięciu artykułów dziennikarskich, a obejmującej treść równie obfitą, poruszającej sto zagadnień, wygłaszającej zdań słusznych tysiąc, a drugi tysiąc najfałszywszych—z książki takiej ułożyć sprawozdanie w paruset wierszach — zadanie to niełada, tem trudniejsze, że autor *Listów do przyjaciela* — o niej to mówić będziemy — domaga się koniecznie poparcia rozbioru „argumentami, dostarczonymi przez naukę.“

Z przykrego położenia wybawi nas chyba sprowadzenie poglądów p. Masłowskiego do rozmiarów jak najmniejszych i zgoda na nie albo odparcie ich w formie jak najzwięźlejszej, bez całego aparatu dowodów i cytowania powag, a tylko przy pomocy twierdzeń, powszechnie przez nasz obóz, jako prawdy, uznanych. W danym razie, gdy jedno, albo drugie zapatrywanie okaże się z naszego stanowiska rzeczą oddawna przesądzoną, ograniczymy się nawet do prostego zanotowania tylko. Tem zaś bardziej sposobu tego jąć się musimy, ile że sprawozdanie z książki p. M. poprzedzić należy wstępem o nim samym, koniecznym dla zrozumienia rzeczy.

Autor *Listów* ma poza sobą pracy publicystycznej lat jakich dziesięć *). Występuje naprzód jako szermierz skrajnego postępu—radykalizmu naukowego i politycznego. Tłomaczy Darwina i pracuje w *Kraju*, który pełnił w Krakowie funkcyę pod owe czasy tę samą, jaką spełnia dzisiaj *Reforma*. Po upadku tego pisma przenosi się p. M. do Lwowa i wstępuje do redakcyi *Gazety narodowej*, gdzie pracuje lat ośm aż do powstania *Kuryera lwowskiego*, którego redakcya została mu powierzoną. Ciasno było „pozytywiście“ lwowskiemu w atmosferze liberalnego konserwatyzmu i „zdrowego“ postępu *Gazety narodowej*, za długo powietrzem tem oddychał i krępował swoje loty, toż frunął teraz swobodnie i wzbił się wysoko, dziobiąc i rozpędzając na wsze strony wszelakiego rodzaju puszczyki i papugi. Trwało to przecież niedługo. *Il n'y a, que les imbéciles, qui ne changent jamais d'opinions...* „Zrazu powolnie—mówi całkiem szczerze—rozwijałem swój program, potem widząc, że trzeba działać energiczniej, rzuciłem bombę... coraz silniej rozwijałem żagle i płynąłem na przebój, aż wreszcie... zacząłem zwalniać bieg, przystawać, wahać się i... płynąć w wręcz przeciwnym kierunku.“

Faktów podobnych w dziejach publicystyki nie wiele — może i całkiem ich nie znajdziemy. Stąd oburzenie w obozie, przez p. M. opuszczonym. Najzjadliwszej krytyki posłuchanoby, być może, z goryczą — odstępstwa nikt nie może wybaczyć. Iczemże zacięty neofita tłomaczy przejście na nową wiarę? Czem usprawiedliwia obojętność, z jaką „przebiegł całą chromatyczną gamę uczuć, od najskrajniejszego (!) radykalizmu, do konserwatyzmu, patrzącego z pietyzmem w instytucye przeszłości i gotowego na ich wzór niejedno zorganizować w dzisiejszem społeczeństwie?..“ „Za dużo (!! *Red.*) miał przygotowania naukowego, za dużo (gwałtu! *Red.*) teoretycznej wiedzy, w porównaniu do znajomości praktycznej polityki.“ Oto usprawiedliwienie, jedyna wymówka, jaką znalazł na swoją obronę. Przypatrzmy się jej, czy zasługuje na protokół. Publicystyka i polityka praktyczna są to dwie rzeczy, które wprawdzie sprzęgają się czasami razem, ale nie wymagają tego koniecznie. Jedna tych, druga owych powołuje do spełniania swoich zadań. P. Masłowskiemu przypięła róże publicystyka i doprawdy nie wiem, gdzie się spotkał z jej praktyczną siostrą, boć redagowanie *Kuryera* niczem innem nie było, tylko dalszym ciągiem tej gabinetowej pracy, której się oddawał przez lat ośm w *Gazecie narodowej*. Przeszedł tylko z jednej oficyny do drugiej—więcej nic; bodaj nawet, czy z ludźmi czynu nie stykał się więcej w *Gazecie*, grupującej około siebie pewien zastęp działaczy, niż w młodocianym *Kuryerze*, który miał dopiero organizować stronnictwo. Tak więc jedyny motyw, na obronę przytoczony, jest zgoła niewystarczający. Porównanie z chemikiem, opuszczającym teoryę x dla teoryi y, nie wytrzymuje krytyki, a szukanie analogii w życiu

*) Dotknięty w *Listach* osobiście i z tendencyjnem przekręceniem faktu, nie miałem początkowo zamiaru pisać o broszurze p. Masłowskiego, aby bezstronności mojej nie podać w podejrzenie. Zobowiązany, zdaję z niej dzisiaj sprawę z przykrością, o tyle mniejszą, że sam autor *Listów* prosił mnie o ocenę, pokładając widocznie zaufanie w mej objektywności. Tyle na odparcie możliwego zarzutu.

*) Z obowiązku dziennikarskiego musimy płacić haracz uwagi ludziom i rzeczom miernym, a głośno rozkrzyczanym. P. Masłowski, którego neofityzm sprawił tyle radości ultramontanom, nie grał w obozie postępowym nigdy żadnej wydatniejszej roli, gdyż pełnił w nim tylko obowiązki tłomacza i kompilatora. Bez zdolności oryginalnych, bez nauki gruntownej był on jedynie wyrobnikiem literackim i nigdy nie budził nadziei, że ktoś kiedykolwiek nim zajmować się będzie—publicznie. I trzeba było dopiero wrzawy stańczykowskiej, która świadczy o dziwnem ubóstwie tej winnicy, skoro taki nawrócony ją budzi, trzeba było—mówimy — tej wrzawy, ażeby na wierzch literatury wypłynął ślimaczek, który dotąd po jej spodzie pełzał. Pierwotnie chcieliśmy ominąć książkę p. Masłowskiego, jako akt skruchy całkiem obojętny — dziś gdy ona wywołuje uciechę lub smutek publiczny—podstawiamy jej nasze zwierciadło. *Red.*

---

ka też przystanęła trochę, ale po chwili, zwabiona wesołymi odgłosy, dochodzącymi do niej z po za drzew i migocącemi postaciami dzieci, skierowała się w stronę pobliskiej łączki. Lipy, czeremchy i klony opasały ją dokoła, wznosząc swe gęste konary po nad krzowy migdałków, trzęsących drobnem kwieciem różowem i akacyj w koleczkach złotych. Cała łączka rozbrzmiewała mnóstwem głosików cienkich, dziecinnych; ruch nieustanny, śmiech i gonitwy napełniały zielony ten i ustronny kawałeczek ziemi, będący w tej chwili rajem prawdziwym dla wesołych duszyczek, wyglądających na świat roziskrzonemi, błyszczącemi oczkami. Promienie słońca lały się nagłym ruchem, złociły twarzyczki rumiane i zuchwałe, różnobarwne spodniczki i kurteczki. Główki czarne i złote, z pozsuwanymi w tył kapeluszami i bez kapeluszy stykały się co chwila ze sobą, nachylały się ku ziemi, podnosiły się w górę ku ptakom i chmurkom, rozstrzępionym na błękicie.

Ludkę też zaraziła wesołość ogólna; stanęła więc i patrzyła, zapomniawszy o celu swej wycieczki. Zrazu objęła wzrokiem cały ten światek mały; po chwili wyróżniła gęstszy i drobniejszy rój dziecinny, pokrywający wzgórek piaskowy; dalej oko jej zatrzymało się na parze rozognionych chłopaków, w bluzach marynarskich, grożących sobie pięściami zaciśniętemi, potem znów na blondyneczce modrookiej, wyciągającej rączki z objęcia matczynego ku wesołemu gronu. Tuż prawie obok Ludki piastunka układała do snu maleństwo na posłaniu wózeczka, pochyliwszy się nad niem poczciwą swą, szeroką twarzą wiejską. Tymczasem, z drugiej strony łączki, zbliżyły się dwie młode panienki, w towarzystwie starszej już pani, o obliczu wyblakłem. Grupa młodych ludzi postępowała za niemi, zwabiona zapewne nietyle gwarem dziatwy, ile zręcznemi figurkami świeżemi toaletami panienek. Zauważywszy to widocznie, opiekunka pośpieszyła je odprowadzić, pomimo że i młodzi ludzie zabierali się do odejścia, spostrzegłszy, że twarzyczki podlotków nie odpowiadały wcale wdziękowi całej postaci. Nagle spojrzenia ich zatrzymały się na Ludce i zapewne pozostałyby dłużej zwrócone w jej stronę, bo i miluchna buzia warta była tego i żadna nie przeszkadzała opiekunka; ale Ludka, zmieszana trochę, zaczęła się co prędzej oddalać. Wobec tych spojrzeń upartych poczuła się samotną bardzo, przypomniała więc sobie owe tiuliki potrzebne i koronki; ale... przypomniała też zarazem wiele innych, daleko ważniejszych rzeczy: jedno ogniwo się poruszyło i cały łańcuch zabrzęczał niespodzianie. Otóż przypomniała sobie dzieciństwo swoje samotne, wrażenia pierwsze, tak różne od wrażeń dzieci, widzianych przed chwilą, oczekiwanie matki nieboszczki, późno wracającej z magazynu, po przeniesieniu się do miasta, swoją młodość sierocą, brak bliskich istot, samotność codzienną. I oto, całkiem niespodzianie, wśród zieleni, słońca i błękitu przyszła nagła tęsknota i okręciła się w koło „wesołej“ Ludki, ścisnęła ją za serce, podniosła się do gardła i wielką łzą perlistą błysnęła na szafirze oka. Biedne dziecko widziało się dziwnie opuszczonem, obojętnem dla całego świata, z tęsknotą nieokreśloną do lepszego życia, do serca bliskiego.

— A, nakoniec, chociaż w ogrodzie widzę pannę Ludwikę — zawołał przed nią głos męski.

Zagłębiona w siebie, Ludka nie widziała nikogo zbliżającego się ku niej; to też drgnęła, usłyszawszy ten wykrzyknik i poznawszy w nim głos dobrze znany pana Leona. Z przestrachem pewnym wpatrzyła się w stojącego przed nią młodzieńca. Był on ubrany bardzo modnie, śmiał się wesoło, a białe, równe zęby błyszczały z po za bródki miękkiej i ciemnej.

— Cóż to panna Ludwika nie raczy się nawet witać ze swym niedawnym sąsiadem, nietylko u siebie, ale już i na ulicy?

— Dzień dobry panu Leonowi — rzekła głosem niepewnym — ale zarazem i dowidzenia, bo muszę się spieszyć.

— Ale cóż ja widzę! wszak to śliczne fiołki zapłakane; cóż się stało, skąd na nich ta rosa?

politycznem Ameryki, o ile ma podkład prawdziwy, jest wręcz niemoralne i przypomina powoływanie się cygana na... cygana. Obaj społem wołu kradli.

Zmiana przekonań u p. M., to nie przeobrażenie się naturalne, to pod wpływem batuty czarnoksięskiej naprzyrodzone zniknięcie dawnej istoty, a ukazanie się nowej, zgoła odmiennej i do tamtej niepodobnej, to coś tak nagłego, jak nawrócenie Szawła. Bo przyzna każdy, że droga od konserwatyzmu do poglądów liberalnych jest naturalniejszą, niż odwrotna, rzadko zresztą przez kogoś przebywana. Dodawszy do tego, że p. M., jak każdy wychrzta, niema miary w wymyślaniu i plwaniu na stare gniazdo, to już zrozumiemy dostatecznie przyjęcie, jakiego doznała książka jego w kołach postępowych.

Jakiż jest cel publiczny pracy p. Masłowskiego? Sam powiada, że „potrzeba ujęcia prasy w takie formy legalne, aby ze szkodliwego i rozkładowego czynnika, jakim jest dzisiaj, uczynić pożyteczny“ — chęć zwrócenia na tę potrzebę uwagi tych, którzy jej jeszcze nie odczuli. Ale to tylko tak powiedziano. W rzeczywistości okazuje się naprzód, że p. M. chce wogóle prasę reformować. Potem spostrzegamy, że gorycz jego wylewa się wyłącznie na prasę liberalną, którą chciałby wygubić zupełnie, a co najwyżej pozostawić jeden tylko organ pod warunkiem, że będzie umiarkowany. Wreszcie dopiero występuje właściwy cel broszury na jaw: chęć zdyskredytowania liberalizmu, opętania postępu, zdławienia wszelkiej opozycyi i pozostawienia krytyce tyle swobody, ile pozwala na to bezgraniczna „uległość przed majestatem władzy prawodawczej i wykonawczej.“ Ciekawa rzecz, czy biłby p. M. pokłony przed majestatem władzy, gdyby stronnictwo liberalne było u steru? A może...

Z pierwszy listów — a jest ich piętnaście — nie łatwo dojść, czy p. M. przeciwnikiem jest liberalizmu *in re*, czy też *in modu* tylko. Zrazu zdaje się, iż niechętnym mu jest dlatego jedynie, że *jeszcze* nie odpowiada naszym stosunkom społecznym, że pod ten zasiew nie jesteśmy glebą należycie przygotowaną i dlatego odrzuca program liberalny. Wogóle konserwatyzm i postępowość—to nie przekonania według niego, zmieniające mózg człowieka w mniej lub więcej twardy kryształ aż do śmierci, to suknie, dające się zmieniać — „recepty,“ które „cofać“ można. Ani pierwszy, ani druga nie przywiązały go do siebie, obraca też niemi z całą obojętnością przemysłowca. Raz postanawia „zgrupować obóz postępowy, zacinający nawet zlekka radykalizmem,“ to znów „myśl zorganizowania obozu postępowego wydaje mu się równie niewłaściwą, jak zalecanie baletowych tańców choremu na podagrę.“ Z następnych listów okazuje się jednak, że p. M. jest już dzisiaj przeciwnikiem liberalizmu stanowczym, że nie odrzuca go, jako rzecz nie na czasie, ale w czambuł go potępia po wszystkie wieki. Widzi w nim wszelkiego zła przyczynę. Nie dzieli go, nie wybiera ziarna zdrowego od plewy, ale wszystek rzuca na śmietnik, aby zrobić miejsce — konserwatyzmowi *). Stało się więc, że występując bardzo słusznie przeciwko niezdrowemu łebkowi liberalizmu, kapitalizmowi, przeciw zasadzie *laisser faire*, *laisser passer*, wygłasza w końcu takie zdanie: „Liberalizm, to torba, w której mieści się para lichych naukowych przesądów, para brudnych zmysłowych konceptów i para zawodnych nadziei.“

Mamże was zaznajomić jeszcze z poglądami p. M. na poszczególne sprawy społeczne? Jest w *Listach* mowa o religii, kościele, rodzinie, społeczeństwie, rządzie, parlamentaryzmie, a najwięcej o prasie. Skarży się więc p. M. na liberalizm, że „*obdarł* kościół ze wszystkiego wpływu na bieg spraw społecznych *i* (!..) politycznych,“ występuje przeciwko „fałszywej zasadzie, że religia jest zbiorowiskiem przesądów,“ skoro psychologia uczy, że „uczucie religijne jest równie silne i tak samo *wrodzone* w człowieku, jak uczucie prawdy, dobra, piękna, że nawet jest koroną tych wszystkich uczuć. Gdybyśmy mogli wyrzucić z nas to uczucie, to z człowieka otrzymalibyśmy naprzód domowe, a wkrótce potem dzikie zwierzę.“ Koniec końców „religia i kościół, to coś głębszego, niż cała liberalna doktryna.“

Mówiąc o warstwach społecznych, przytacza p. M. zdanie z *Ogniska*: „Gdy lud wzmoże się w dobrobyt i podniesie w oświacie, wywrze głęboki i dodatni wpływ na społeczeństwo. Z tej rudy najszlachetniejsze wytopi nam przyszłość kruszce.“ Zaprzeczono temu w *Listach* stanowczo.

*) Chyba sobie — w jakimś banku konserwatywnym, który historyozofię przykrawa do wymagań *papu. Red.*

Wychodząc z zasady, że miarą cywilizacyi każdego kraju, a w kraju każdej jego warstwy, nie jest zdolność wyrabiania pojęć, ani ich suma, ale stopień wyrobienia uczuć, przyznaje p. M. nieskończoną wyższość szlachty nad ludem. Wiekowe uprzywilejowanie musiało zdaniem jego, stworzyć ze szlachty rasę lepszą, o wyższych dążeniach; wiekowe znów upośledzenie nie mogło wpłynąć uszlachetniająco na rozwój psychiczny ludu. „Więc gdzież pozytywny punkt oparcia dla liberalnej teoryi, iż ruda chłopska wytopi nam najszlachetniejsze kruszce?“ Gdzie? Bodaj w nie nowem twierdzeniu p. M... Wiekowe stosunki (mówmy wyraźniej: dobrobyt i oświata) wyrobiły ze szlachty rasę, przystępną wyższym dążeniom—też same czynniki „wytopią nam *w przyszłości* najszlachetniejsze kruszce z rudy ludowej.“ Któż mówi o teraźniejszości, która dostarcza nam grudek najcenniejszych metalów, ale grudek tylko? O to też chodzi, aby topić całe sztaby.

Lud zresztą, według p. M., wypowiada już swoje słowo: w sztuce — naturalizm, w literaturze—pornografia, na scenie—wyuzdanie zmysłowe, w prasie — paszkwil itd. (To już prosta bzikanada *Red.*).

Przejdźmyż wreszcie do prasy, o której—choć to *on ne perle pas de corde dans la maison d'un pendu* — rozpisał się p. M. długo i szeroko, nie szczędząc soli, pieprzu i wszelkiej innej przyprawy. Prasa liberalna w Galicyi—najgorsza to instytucya pod słońcem. Głupia z zawodu — podła w przekonaniach i dziwić się tylko należy, że p. M. wytrzymał całych lat ośm w redakcyi jednego z takich dzienników. Osobliwszem jest jeszcze to, że przez lat ośm nie poznał się na wartości tejże prasy. Otworzyły mu się oczy dopiero wtedy, gdy opuścił te zaczarowane progi (i gdy już zjadł wszystko, co tam mógł dostać *Red.*).

Za wiele jest przesady w słowach p. Masłowskiego. Bądź co bądź, pisma lwowskie, tandetne to po części wyroby, złożone z przedruków, kompilacyj, a rzadko dobrych oryginalnych artykułów. To dotyczy strony literackiej. W polityce znów jeżdżą one tędy i owędy: jedna połowa współpracowników, to kapłani znicza narodowego i katolickiego — druga zdeklarowani anarchiści. Trzyma się to przecież jakoś całości i idzie naprzód — niby wedle programu, w rzeczywistości zaś opatrzność widocznie musi czuwać nad tymi glinianymi balonami, raz wznoszącymi się zbytnio w górę, to znów

---

— Zapłakane? Przywidziało się chyba panu, cóż mi się stać miało? Może wiatr mi łez napędził.

— Oj nie prawda, nie prawda — podchwycił gorąco pan Leon — nigdy mię nie myliły moje oczy; niechno się tylko panna Ludka przypatrzy, czy wyglądam na ślepego? Proszę tylko się przyznać, wszak jest ktoś szczęśliwszy ode mnie, i on to pewnie łezki te śliczne wywołał...

— Ach, co też pan mówi!

— A mnie to nawet — kończył młody człowiek — progu przestąpić nie wolno — i za co? Ot za to tylko, że mnie znęciły koralowe usteczka; ale czyż moja to wina, że one takie ładne? I cóż to za grzech zresztą, wszak Ludka już nie dziecko?

— Niechże mi pan tego nie przypomina; i tak już odchodzę.

— O, ja wiem dobrze, że Ludka całkiem radaby o mnie zapomnieć; nie chce pamiętać już moich piosenek i spacerów nad rzeką, tych ślicznych spacerów. Żebyż to jeszcze nie ta kwaśna Marynia...

— Marynia nie może być wesołą...

— Bo młodszym zazdrości; ale cóż my tu stoimy? Póki oczki nie wyschną, posiedźmy gdzie w cieniu, ot tam, gdzie żółta róża kwitnie.

Ludka jednak chciała się pożegnać i już odejść miała, ale w tej samej chwili ogarnęła ją słabość dziwna, jakieś zmęczenie słodkie czepiało się jej ciała. Mimowoli prawie dała się ująć za rękę panu Leonowi i podprowadzić do ustronnej ławeczki. Usiedli. Niespokojna czegoś dziewczyna co chwila prawie chciała się zrywać i uciekać prędzej. Zostawała jednak.

— Raz tylko jeszcze spojrzę na niego— rzekła sobie w duchu — i pójdę już koniecznie.

Podniosła oczy; spotkały się one ze wzrokiem Leona, i znowu wydały się jej te oczy czarne pięknemi bardzo i patrzącemi na nią inaczej, aniżeli wszystkie inne na świecie. Iskierka tryumfu drżała w ich kątach niepostrzeżenie dla młodego dziewczęcia.

Tymczasem ręka pana Leona coraz mocniej ściskała rękę Ludki, a usta szeptały cicho:

— Przebaczy mi Ludka, nieprawdaż, przestanie gniewać się na mnie i znowu pozwoli wygnanemu przyjść kiedy do siebie?

— Lepiej nie przychodzić; wszak i wakacye już prędko, wyjedzie pan może na zawsze?

— A Ludka wcale nie zatęskni za mną? Niech mi oczęta odpowiedzą. Otóż zatęskni, zatęskni, ale ja powrócę, tylko mi trzeba pozwolić, koniecznie, choć czasem przychodzić. Pojechalibyśmy sobie mimo lasów, łąk i ogrodów, wszak prawda Ludeczko moja?

— Chyba znów Marynię weźmiemy — odpowiada Ludka głosem cichutkim.

— Jakto, czyż wiecznie nieznośna ta Marynia psuć nam ma chwile radosne? Nie trzeba, Ludko, Maryni, nie trzeba jej ani teraz, ani po wakacyach, kiedy znów przyjadę. O, wtedy już nie zwrócę uwagi na żadne Marynie, ani na Ludczyne dąsy — gorąco mówił Leon, zaglądając dziewczynie w same oczy.

* *

*

W tej chwili z bocznej uliczki wychodziła pani Helena. Poranne rozmarzenie nie ustąpiło jeszcze z jej serca; w wyobraźni jej, nastrojonej wesoło w galeryi obrazów, kołysały się postacie lotnych pasterek i poetycznych pasterzy, pląsających na tle zieleni z woli wytwornych mistrzów francuskich, gdy nagle żywy obrazek stanął przed jej oczyma. Bystre spojrzenie pani Zygmuntowa utkwiła w młodej parze.

Rumieniec pogardy i oburzenia zalał jej delikatną twarzyczkę.

— Ach, to ta dzisiejsza! Taka młoda i już...., jak wszystkie, czyż nie miałam racyi!

R. B. de C.

spadającemi w piasek. Byle tylko nie na kamienie! — oto hasło.

A więc prawdą jest mniej więcej, co p. M. mówi o lwowskiem dziennikarstwie. Ale co za cel miało podjęcie krytyki prasy liberalnej, a oszczędzanie, ba! bronienie konserwatywnej? Wobec jadu i nienawiści, jaką zieje kilka listów przeciwko pismom niezawisłym od rządu, jak wygląda znowu to formalne pieszczenie i holubienie organu urzędowego w liście XIII? Dziwne to, dziwne bardzo i mimowoli pyta się człowiek: *cui bono?..* *).

Rewera.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

F. Świderski (ex-Bocian) **Pisma humorystyczne** zeszyt II, Częstochowa 1884.

Tak, wydano je w Częstochowie — nie dlatego, aby zasilić skarbnicę miejscowych rymotwórców, lecz aby ujawnić ich wpływy na nasze piśmiennictwo. Niemiłosiernie nudno, zabójczo-moralne morały, przerywane pobożnymi wykrzyknikami, stanowią treść największej liczby wierszowanych utworów ex-Bociana; częstochowskie rymy, rozwlekłość, błędy składni i ortografii określają ich formę. Skromność autora jest wprawdzie wielką:

„Gdybym mieszkał w Australii, Azyi lub Afryce
Na większą bym się pewno wysadził zabawę“

mówi on, opisując polowanie w swoim *Kalendarzu.* Czytelnik, któremu owo „gdyby“ uśmiecha się bardzo, musiałby chyba kłuć się szpilkami, szczypać, aby nie zasnąć podczas „wysadzania się“ poety „na zabawę.“

Do głębszych warstw społecznych satyra p. S. zagląda niechętnie; bardziej zaognionych ran nie wskazuje. Z pewną dobrodusznością mówi on o rozmaitych wadach naszych, wspomina czasem i o ciężkich wykroczeniach, ale robi to wszystko w sposób nieznośnie usypiający. Drzemiąc, dowiedzieć się może czytelnik o szkodliwości zbytków, o złym wpływie *faktorów* o sprzedawaniu majątków niemcom, o wycinaniu lasów itp. Ostatniej operacyi zresztą radzi zaniechać głównie dlatego, że

„Nasi potomkowie dostąpią zaszczytu,
Że im będą smacznego życzyć apetytu.“

Szczególną niechęć żywi p. S. do *emancypacyi*, którą pojmuje po szlachecku, a karci z wytrwałością, budzącą złośliwe domysły w głowie czytelników.

Kiedy się urodziła w takiej konstelacyi (Raka)
Rejteruje (?) z powagą (?) do emancypacyi.
Jakieś dziwne zachcenie po głowie się roi itd.

W innem miejscu:

Z tych to właśnie powodów i z tej pewno racyi
Dążycie z pustką w głowie do *emancypacyi*;
Skąd ciągłe narzekania na zbyt ciężkie czasy itd.

Jak się zdaje „emancypacya“ zjawia się w pierwszym wierszu przez miłość dla „konstelacyi,“ w drugim — dla „racyi;“ w obu wypadkach dla rymu. Aby zrozumieć wielką do niej nienawiść dobrodusznego humorysty, potrzeba wiedzieć, iż w umyśle jego znamiennemi cechami owej emancypacyi są: koki, turniury i ogony...

Bardziej ożywioną staje się muza poety, kiedy mówi on o znanej dobrze braci-szlachcie:

Ej, ty chudą fornalką, gdzie pędzisz sąsiedzie?
Czy ci pilny interes do miasteczka wiedzie,
Czy rozigrawszy myśli używasz swobody,
A niechcąc już pić w domu tak jak kaczka wody,
Włożyłeś kilka rubli w kieszeń w kamizelkę,
Aby u Danciglera wychylić butelkę itd.

Niekiedy autor zdaleka urąga postępowi:

Ale czy wina mody, czy *postępu* wina,
Czy też tam inna jaka piekielna przyczyna,
Wkradł się i do chat wiejskich ów grzech nieczystości

powiada w swych *Grzechach głównych* i zaraz też korzysta z okoliczności, aby nam jeszcze raz zohydzić emancypacyą:

Jeżeli to jest droga do emancypacyi,
Jeśli w tem, co objawiam, nie mam słusznej racyi,
To starego Bociana wymaglujcie kijem.

Weselszym również jest autor w dwóch humoreskach: *Wieś i kamienica* i *Dwaj złodzieje*, gdzie lżejsza forma okupuje powszedniość pomysłu.

Proza, nie krępując p. Św. rymami, jest dla niego łaskawszą. Spotkać tam można odbłyski szczerego humoru i głębszej satyry. W *Wędrówce delegata* udaje się autorowi rozśmieszyć czytelników. Głównym chwastem, który tutaj stara się on wyplenić są: niezaradność szlachty, gospodarka niemieckich kolonistów, epidemia bon i guwernantek zagranicznych, faktorzy i... nieszczęśliwa emancypacya. Czasem stara się autor dopomódz sobie łatwym dowcipem, jak np. w VIII wędrówce, gdzie kilka przedstawionych czytelnikowi osób nie wymawia rozmaitych głosek abecadła. Wytwarzają się stąd rozmaite dziwolągi nie dowcipne wprawdzie, ale śmieszne. Wartość wędrówek obniża znacznie okropne niechlujstwo języka. „Wykonywując dalszy ciąg poleceń wyruszyłem celem ich wykonania;“ albo jeszcze: „nie mając w żołądku nic, jakieś czarne myśli snuły mi się po głowie.“ Te i tym podobne zwroty przyprowadzają do rozpaczy najpobłażliwszego nawet czytelnika.

Maryan Bohusz.

TEATR.

Z. Mellerowa i J. Galasiewicz *Chata za wsią*, dramat ludowy w 5 aktach, osnuty na tle powieści I. J. Kraszewskiego. — Skarbek Borowski *Inżenierowie jadą*, komedya w 2 aktach.

Dramat ludowy obecnie staje się modnym i dlatego praca na jego niwie jest bardzo wdzięczną, szczególniej w Warszawie, gdzie wobec filisterskiego ludku nawet arcydzieło złamie kark, jeżeli nie ma tego szczęścia, aby przypadło do przeciętnie jałowych upodobań. My mieszczuchy mamy bardzo demokratyczne gusta, lubimy „chłopów“ na scenie, zwłaszcza gdy nie wymyślają sobie i zbyt dużo wódki nie piją, ale tańczą wesoło i śpiewają ładnie. Dramat ludowy bez tak zwanych „szopek,“ tojest bez efektownego przyboru, melodramatu i choreografii nie zyska względów mniej wybrednej publiczności.

Doświadczył tego p. Galasiewicz, którego *Czartowska ława*, ponieważ była bombą, więc ściągnęła tłumy ludu, gdy tymczasem *Wspólne winy*, napisane efektownie i poruszające głęboko stosunek ludu do inteligencyi, niezbyt długo popasały na scenie. Spłaciwszy tedy sumiennie, ale bezowocnie dług lepszym pojęciom o sztuce ludowej p. Galasiewicz powrócił do „bomby“ i wpólnie z panią Mellerową przeniósł część *Chaty za wsią* Kraszewskiego na deski sceniczne, przystroiwszy ją w ruchliwą fantasmagoryą scen, obliczonych na efekt dekoracyjny, domieszawszy do akcyi żywioł liryczny, który w szatę melodyi odział p. Noskowski jedyny dziś kompozytor, czujący szczerzej tętno rodzimych melodyj.

Przyznać jednak trzeba, że w porównaniu z dawniejszymi dziełami tego rodzaju *Chata za wsią* jest krokiem naprzód w artystycznym pochodzie, że cały jej ton i budowa wkraczają w lepszą sferę estetyczną, jakkolwiek z natury rzeczy sztuka musiała przyjść na świat kinkietów z pierworodnym grzechem konwencyonalizmu. Dramat ludowo-cygański, pisany językiem literackim, nie mógł się zdobyć na koloryt łudzącego realizmu, jaki cechuje rodzajowe zwłaszcza sceny utworów dawniejszych w tym rodzaju. Spółka jednak literacka postarała się, aby wyzyskać dobrze pod względem scenicznym psychiczno-poetyczną stronę powieści, aby wyraziście ukazać parę głównych postaci, aby wyprowadzić najaw w kształtach skupionych a zajmujących główne chwile walki rozwoju uczuć, a nareszcie wyzyskać dla dramatycznego zajęcia niektóre szczegóły w powieści prawie że pominięte. Z trudnego zadania przeróbki autorowie wywiązali się tak szczęśliwie, że nie znam w naszej, a nawet nie naszej literaturze utworu pochodnego od powieści, któryby porządniej był zrobiony, bez łatanin i fuszerek. Rozumie się, cyganie w sztuce są mało podobni do tych brudnych, posmolonych włóczęgów, o czarnych włosach, zbitych w strąki i pokręconych kudłato. Lubią oni czasem coś „zwędzić“ i oszukać głupich „gadziow,“ ale są pracowici, kochają swobodę i pięknie śpiewają o powabach przyrody. Są to potrosze cyganie legendowi, potrosze teatralni, wyszlachetnieni i owiani idealnym urokiem, podobnie jak inne postacie tego utworu. Taki Tamry, chociaż się urodził pod cygańską szatrą, jest miękkim, smętnawym bohaterem i podobnie jak w powieści nie razi bynajmniej gminną dzikością włóczęgi. Aza, to nie brudna cyganka, ale ponętna, sprytna jak wąż, chytra jak szatan i powolna jak syrena — posiada złowrogi urok, właściwy wielkoświatowym heterom. Nierealną, ale wdzięczną i niezwykłą postacią jest także głupi Janek, garbus, niezdara, idyota, a jednak jedyny śród wiejskiej gromady człowiek z sercem i głębszem odczuciem ludzkiej niedoli. Stary Lepnik, kreślony trochę melodramatycznie, ale w dosadnych zarysach uosabia nienawiść ludu do tułaczych przybyszów, a chociaż sam z krwi cygańskiej pochodzi, jest jednak namiętnym rzecznikiem rasowego wstrętu.

Postacie te splotli autorowie w dramat wcale jednolity, gdyż zamiast wtłaczania na scenę całej panoramy obrazów, zawartych w powieści, wzięli część jej odrębną, urabiając w harmonijną i zaokrągloną całość, którą możnaby nazwać dramatem nieprzystosowania się osobnika do nowych warunków bytu. Tamry—cygan dla miłości chłopki porzucający życie koczownicze, osiadły w nędznej lepiance pod lasem, znienawidzony przez całą wieś jako przybłęda wraz z żoną, obciążoną przekleństwem ojcowskiem — przedstawia losy człowieka wykolejonego, który błądzi pomiędzy dwoma sferami życia i ginie, ponieważ nie mógł zharmonizować się z otoczeniem, ani wyrobić sobie środków w walce o byt. Dla namiętności wykoleił się on z warunków istnienia, do których natura jego była dziedzicznie urobioną. Jako człowiek osiadły nie mógł zdobyć się na wytrwałość w walce z ogólną nienawiścią, nie mógł istnieć, ponieważ nie zharmonizował się z tymi, przez których miał żyć. Złamany w nowem otoczeniu, ciągniony do nowego siłą dawnego nałogu i nowej niewieściej ułudy, Tamry kończy samobójstwem, jak zwykle giną wykolejeni. Gdyby miał więcej siły w walce, budziłby więcej sympatyi, chociaż i tak zyskuje litość, jak każda ofiara nierównej walki ze zbiorową przemocą, nienawiścią i przesądami.

Ta głębsza treść, przeglądająca się z dramatu, łącznie z poetycznym kolorytem, składa się na podnioślejsze wrażenie, spotęgowane dobrze użytym kontrastem scen zbiorowych. Chociaż całość należy do utworów urobionych do sceny, żyjących nietyle

*) Nam się zdaje, że p. Masłowski wie doskonale, *cui bono?*

prawdą, ile siłą ułudy właściwą atmosferze kinkietów, jednakże w danym rodzaju jest utworem szlachetnym, posiadającym piętno artyzmu. Krasi go piękna, bogata w harmoniczne pomysły, świetnie instrumentowana muzyka p. Noskowskiego, która chwilami grzeszy zbyt operowemi pretensyami, ale ujmuje czarem swojskiej melodyi, a w tańcach porywa dziarskością rytmu i charakterystyki.

Na teatrzyku Belle-vue najlepiej wypadła taneczna część przedstawienia, w muzykalnej znać było... dobre chęci i poszanowanie pracy kompozytora. Z pomiędzy artystów grał najjaskrawiej p. Szymborski, najlepiej p. Popławski, który wdzięczną rolę Janka ucieleśnił bardzo szczęśliwie. Pan Kopczewski i pani Bauman w rolach Tamrego i Azy wykazali dobre chęci, okraszone pewną dozą artystycznego smaku, pani Majdrowicz szła w ich ślady a p. Przewóski w drobnej roli gapia Kajtusia rozśmierzył widzów do rozpuku.

Udało się to potrosze na scenie Teatru Letniego panu Skarbkowi-Borowskiemu w jego dwuaktowej komedyi *Inżenierowie jadą*, w której poszedł śladem młodego Fredry i okazał skłonność do wesołej scenicznej facecyi. Nie warto opowiadać treści sztuczki, opartej na zwykłej farsowej bieganinie, mistyfikacyjnych nieporozumieniach i tym podobnych środkach. Autor jednak środkową scenę rozwinął zbyt powolnie, niezawsze pamiętał o tem, że podobne facecyjki powinny być prowadzone z błyskawiczną szybkością, aby widz oszołomiony krętaniną, rozśmieszony konceptem i szarżą niemiał czasu opamiętać się i przytomnić sobie na razie, że w tem komicznem „szum drum" niema logiki. Może się opatrzeć, gdy spadła zasłona, ale wtedy autor farsy odniósł zwycięstwo, bo jego rola kończy się z chwilą, gdy stuk drewnianego wałka od kurtyny wraca widzowi chwilowo a przyjemnie okłamany zdrowy rozsądek. P. Borowski kiedyś zapewne dokaże tej sztuki, zwłaszcza gdy mu pomagać będzie zawsze p. Ostrowski, który grając bawi się wybornie razem ze słuchaczami. Ucieszny to aktor — mosterdziejuł bardzo ucieszny!

J. K.

LIBERUM VETO.

Wstydliwa uczta.—Historya *National Zeitung*.—Dwie skłonności.—Gotowość do bibek i toastów na cześć literatów zagranicznych.—Przed Europą.—*Lebe hoch!*—Ostatnie kłamstwa i waryanty na temat drewnianego konia.—Ogłoszenie *Journal de St. Petersbourg*. — Nasz kredyt moralny.—Żółta obwódka na dziobku *Wędrowca*.—Wydzielina p. K. C. J.—Cierpienie Wertera chorego na środkowe dzwono.

Dopiero z zagranicznych dzienników polskich dowiedzieliśmy się, że w mieście naszem najlepsza cząstka świata literackiego obchodziła niezmiernie ważną uroczystość i uczciła niezmiernie szanownego bohatera. Domejkę? Nie—ale naprzód małe wyjaśnienie. Istnieje w Niemczech stronnictwo „narodowo - liberalne," które zadało sromotny gwałt ideom narodowym i liberalnym, a między innymi zasługami odznaczało się prześladowaniem i nienawiścią polaków poznańskich. Przy jego to pomocy ks. Bismark przeprowadził t. z. ustawy majowe, gnębiące katolików, ono było zawsze przedmiotem szczególnej wzgardy pism polskich. Bo chociaż straciło dawny swój głos i na działanie rządu wpływu bezpośredniego nie wywiera, szczuje nas w prasie z zajadłością, na jaką tylko żyd skrzyżowany z niemcem zdobyć się może. Najgłówniejszym organem tego stronnictwa jest berlińska *National-Zeitung*, w której kolumnach płynie dotąd zgniła żółć pod postacią „korespondencyj z Warszawy." Kto z was chce poznać próbki niecnej potwarzy, kłamliwych denuncyacyj, podstępnych zmyśleń, jadowitych ukąszeń, bezczelnych skarg—niech zajrzy do tej gazety. Jej redaktor, spostrzegłszy widocznie, że mu założona tu pompa nie dostarcza dosyć błota, przybył sam do Warszawy zapewnie w celu wyświdrowania sobie nowej studni. Możemy być przygotowani, że znalazł obfite źródła, które niedługo trysną oszczerstwami w suterenach jego dziennika jako wrażenia z podróży. Otóż tego pana, któremu należało każde drzwi prasy warszawskiej przed nosem zamknąć, grono literatów tutejszych uczciło koleżeńską biesiadą. Kogo ta galanterya dziwi, ten niech sobie przypomni dwa nasze dziennikarskie zwyczaje: 1) skłonność do bibek pod wszelkiem wezwaniem i 2) szczególne nabożeństwo do każdego literata zagranicznego.

Co do pierwszej cnoty, kiedy zaczęto ogłaszać, że słynny już dziś na całą Polskę przewoźnik Kocz wyratował z Wisły kilkanaście osób, odłożyłem pięć rubli na obiad składkowy dla niego w Resursie obywatelskiej i jestem pewien, że jego ten zaszczyt a mnie ten podatek nie minie. Przed kilku dniami czytałem w *Kuryerze warszawskim* obszerny życiorys niejakiego Pawła Rybczewskiego, „*Nestora* dorożkarzy" warszawskich, który chlubnie odznaczył się w swoim zawodzie, bo: pochodził z Kujaw, naturalnie miał dorożki, „bawił się w rozmaite spekulacye," żył lat 80 i umarł. Otóż rozważając ten piękny i pełen chwały żywot nowego „Nestora" („Nestor" jest dziś tak dalece w modzie, że niedługo przedstawią swego nawet rzezimieszkowie), zdziwiłem się niepomiernie, że ś. p. Paweł Rybczewski zszedł z tego świata, nie zjadłszy z „przedstawicielami literatury" publicznego obiadku. On chyba jeden był tak nieszczęśliwy i zapomniany. U nas dosyć pochodzić z Kujaw i mieć lat 80, ażeby stać się bohaterem przynajmniej jednego wieczoru w Resursie i przynajmniej przez tydzień w ilustracyach. Zdarza się nawet, że niektórzy „jubilaci" są publicznie podejmowani i obdarowywani dwa lata z rzędu lub na rok przed upływem terminu. Widziałem już uroczyście świętowane rocznice niezastosowane wcale do rachuby dziesiątkowej. Ktoś np. obchodził jubileusz $44^1/_7$ „pracy dla społeczeństwa." Wytworzyli się u nas specyaliści, którzy na każdy dzień układają kalendarz głośnych bitew lub faktów historycznych w przeszłości i obiadów honorowych w teraźniejszości. Jeśli wszakże swojak dla dostąpienia tego zaszczytu musi wylegitymować się z dostatecznego wieku i posiadać bodaj kilka siwych włosów w brodzie, cudzoziemiec jest często wolny od tego warunku. Kiedyś przyjechał do Warszawy z dalekich stron jakiś kancelista literatury z zamiarem „poznania syreniego grodu." Przyjechał—niech się włóczy i gapi. Aż tu nagle wchodzi do mnie ktoś z konserwatywnego obozu.

— Chociaż się różnimy w zapatrywaniach—rzecze po krótkiej przegrywce—sądzę, że pan zgodzisz się na potrzebę skorzystania z pobytu u nas p. X.

— Kogo?

— Pana X.

— Co za jeden?

— Jak to — nie wiesz pan, że przyjechał do Warszawy znakomity publicysta, którego świetne korespondencye i fejletony...

— Ach, prawda, czytałem w *Kuryerze*. Więc?

— Jest to człowiek bystry, ale w braku dostatecznych wskazówek może błędnie widzieć; trzeba, ażebyśmy pokierowali nim, pokazali mu rzeczy godne uwagi...

— A no to niech go weźmie pod rękę, kto ma najwięcej czasu.

— Tak, ale wypada go ugościć, zjednać... Przecież jego sprawozdania czytać będzie cała Europa.

— A co mnie, co nas obchodzi „cała Europa."

— Żartujesz pan...

— Nie żartuję. Jeśli ona taka głupia, że dopiero nas pozna przez tego facetusa i bezwzględnie mu zaufa...

— Wszystko to prawda, ale ona mu zaufa...

— Eh, mój panie, kuta to baba, tak łatwo lada bajce nie uwierzy. Heine nazwał Niemcy „największym głupcem," a przecież nikt ich za takich nie uważa. Gdyby Aristofanes, Rabelais, Voltaire—wszyscy szydercy wydrwili Anglię, pozostanie ona Anglią. Jeśli my mamy jakąś wartość, pierwszy lepszy pachołek literacki nam jej nie odbierze, a jeśli nie mamy, nikt nam jej nie da.

— Deklamacya. Trzeba postępować praktycznie.

— To pan postępuj.

Taką lub podobną rozmowę prowadziłem już niejednokrotnie i dotąd głowa moja okazała się za twarda dla zrozumienia tej prostej i podobno niezmiernie rozumnej reguły, że każdego wędrownego ptaka dziennikarskiego trzeba nakarmić, napoić, wyuczyć go odpowiedniego kuranta, ażeby dobrze o nas śpiewał „przed Europą." Regułę tę rozszerzono tak dalece, że gdy do Warszawy przybył redaktor *National-Zeitung*, który przynajmniej raz na tydzień zjada porcyę polaków, opieprzywszy ich uprzednio i oblawszy octem, wyprawiono mu — jak donoszą gazety poznańskie — „koleżeńską" ucztę. Jej komitet urządzający nie pochwalił się jednak tym obywatelskim czynem w prasie miejscowej, ale czyż podobna o nim przemilczeć? Zatem — *lebe hoch unser bester Freund aus der National-Zeitung!* Pewnie nam za tę gościnność podziękuje. Niedługo przeczytamy: „*Aus Warschau schreibt man uns, dass die revolutionäre Gährung in dem ganzen Przywislansky Kraj itd.*"

Szczerze mówiąc, jakie pragnienie spoczywa na dnie duszy każdego cicerone'a literatów zagranicznych? Ażeby za cenę obiadku skłamali nieco pochlebstw na nasz benefis. Już to łatwiej z wiatru kołdrę uszyć, łatwiej nawet nowożeńców oduczyć płatnych ogłoszeń o swych zaślubinach z dodatkiem: „szczęść Boże młodej parze," niż nas przyzwyczaić do pisania o sobie prawdy. Poruszano tę sprawę na kongresie literackim, zgodzono się na zmianę systemu, zaklinano się i stary nałóg pozostał bez zmiany. W ostatnich tygodniach popłynęła do Krakowa, Lwowa i Poznania obfita fala korespondencyj z Warszawy. Każda z nich tenże sam fakt przedstawiała zupełnie odmiennie, niż inne. I tak jeśli jedna twierdziła, że zbudowany został drewniany koń z ukrytymi wewnątrz żołnierzami, którego chciano tajemnie wprowadzić do Troi, to druga utrzymywała, że to nie był wcale drewniany koń, ale żywy wół z przywiązanemi na rogach wiązkami płonących drzazeg, który walił rogami o mury; jeśli trzecia zapewniała, że Achilles włóczył przywiązane do rydwanu zwłoki Hektora, czwarta przysięgała, że Hektor włóczył Achilla; jeśli piąta donosiła, że Troję oblegali grecy, szósta mówiła, że to byli macedończycy. Ułomny człowiek, postawiony śród zamętu najsprzeczniejszych zdań, zawsze na chwilę ku jednemu z nich się skłoni. Ale gdy uwierzyłem któremukolwiek, zaraz mnie napastowała myśl: cóż u licha, mieszkam w Warszawie, jej życie starannie badam, i znikąd nawet podobny posłuch mnie nie doleciał! Od kogo ci ludzie to wszystko wiedzą? Ale w sprawach głęboko złożonych trudno dokopać się do gruntu, więc trzeba komuś zaufać. Zaufałem — wyznaję szczerze — krakowskiemu *Czasowi*, który w rozpuszczaniu wieści jest najostrożniejszy. I jego wszakże *Iliada* była okropną. Doznawałem wszystkich uczuć trojańczyka, który pamięta o drewnianym koniu. Tymczasem...

Organ ministeryum spraw zagranicznych *Journal de St. Petersbourg* (według *Wieku*) obwieszcza:

„Wiadomości, podane w wielkiej liczbie dzienników zagranicznych, a dotyczące rezultatów śledztwa, które zostało wszczęte w skutek wykrycia w Warszawie stowarzyszenia socyalno-rewolucyjnego, są nadzwyczaj przesadzone. Dzienniki te głoszą o aresztowaniach na ogromną skalę, o składach dynamitu i broni, o nader obszernych rozmiarach stowarzyszenia, mającego jakoby składać się przeważnie z rosyan.

„Możemy donieść na podstawie zupełnie autentycznej, że istotnie prowadzi się w Warszawie śledztwo w przedmiocie przestępnego stowarzyszenia, mającego cel rewolucyjny. Aresztowano jednak z tego powodu razem osób 32, a rewizye odbyte w domach oskarżbnych nie wykryły ani dynamitu, ani składów broni; znaleziono jedynie proklamacye i inne utwory przewrotne itp. akcesorya zwykłych stowarzyszeń rewolucyjnych.

„Z liczby aresztowanych 3 jest prawosławnych, 21 katolików, 7 żydów i 1 innego wyznania."

Nawet epopeja *Czasu* rozwiała się w mojej pamięci zupełnie!

Nie mogę tu zestawiać jej obrazów z powyższem urzędowem ogłoszeniem i porównywać statystycznych cyfr z dwu źródeł, które tak się od siebie różnią, jak wiek biblijnego Abrahama od wieku naszych dziadków, ale ponawiam moją starą prośbę. Panowie bracia, na miłość — jaką chcecie? — boską? — niech będzie boską, przestańmy kłamać! Mniejsza, że ten grzech utrudni nam wstęp do nieba, ale on nam utrudnia życie na ziemi. Ta „Europa," przed którą tak radzibyśmy się popisać, uważa nas za ostatnich łgarzów. Gdy kupiec warszawski, otwierając sklep, zażąda od zagranicznego przemysłowca kredytu, ów przemysłowiec widzi w nim podstępnego bankruta i albo odmawia prośbie, albo podnosi cenę towaru dla pokrycia przypuszczalnych strat; gdy gazeta zagraniczna czerpie z naszych jakąś wiadomość, opatruje ją zastrzeżeniem wątpliwości. To naprzód bardzo dotkliwe, a potem zabójcze. „Kto raz skłamał — powiada nauczka dziecinna — temu nie uwierzą, chociażby prawdę mówił." Ach, ileż razy ona się na nas niemiłosiernie sprawdziła!

Tak często robię zarzuty prasie warszawskiej, że miło mi w niej zaznaczyć nowy a chlubny wyjątek. Mówię o *Wędrowcu*, w którym artykuł „Stragany dziennikarskie" jest żółtą obwódką ostro zakończonego dziobka. Naświergotawszy dużo przeciwko wszystkim pismom, i niebaczny na wartość swego gniazdka p. C. K. J. tak śpiewa:

„W czasopiśmiennictwie krajowem nie mamy uczciwie i zgodnie pracujących stronnictw, wytrwale walczących obozów, niezależnych szermierzy; posiadamy za to: zachowawcze lub postępowe przedsiębiorstwa, współzawodniczące giełdy i wymyślające sobie przekupki."

Pan C. K. J. widocznie nie posiada jeszcze ani literackiego „przedsiębiostwa," ani „giełdy," nie jest wszakże odosobnionym i jeśli kiedy uświęcić zechce jubileusz swego obecnego wystąpienia, będzie go obchodził w gronie „przekupek." Jego wydzielina w *Wędrowcu* zbyt mi przypomina porę choleryczną. I może to człowiek rozsądny, ale popadłszy w niestrawność i czując bóle, złapał się za środkowe dzwono i krzyczy: jaki ten świat podły!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Pomyślna obfitość. — Biedni dla biednych. — Upadek monopolu w Zawierciu. — Smutne spóźnienie. — Kredyt i zdrowie. — Szkoły w Miechowie i Kutnie. — Obawa o mieszkańców Krasnostawskiego i Maryampolskiego. — Głos z pod Lututowa. — Radomski pesymizm.—Co tam dla nas cholera!—Zaatlantycka mara.

Nie często zapewne zdarzy mi się zapisywać na tem miejscu tyle naraz przejawów dobrych chęci, energii, żywotności, ile w ubiegłym tygodniu zdołałem zgromadzić w kronikarskiej tece. Loterye fantowe, przedstawienia amatorskie, koncerty na powodzian i inne tym podobne wesołofilantropijne pomysły pomijam milczeniem. Przyjemne przepędzenie czasu, z którym utalentowani dobrodzieje niezawsze mają co począć, wraz z dokładnymi i entuzyastycznymi opisami w Kuryerkach winno być w tym razie dostateczną zachętą na przyszłość. Widok zaś natychmiastowego plonu starań i zabiegów — zmniejszonej nędzy ludzkiej, otartych łez biedaków, wdzięczności upośledzonych —starczy chyba zupełnie za nagrodę, żadna inna działalność równie szybkiej i pewnej zdobyć sobie nie może.

Zrosztą i tym usiłowaniom, co trwalszy ślad w społeczeństwie zostawić mają, poświęcić mogę krótkie tylko wzmianki. Zaczynam od faktu, który pisma nasze ochrzciły mianem „biedni dla biednych."

Robotnicy z przędzalni Scheiblera w Łodzi złożyli na rzecz miejscowej taniej kuchni 400 rs. Z jakiegokolwiek stanowiska zapatruje się kto na kierunek wędrówki ludzkiej, ofiarę tę powinien powitać oklaskiwaniem uznania i zachęty. Czy paląca kwestya robotnicza, kwestya możebności śmierci głodowych, uznana dziś już przez wszystkich ma się rozstrzygnąć przez gwałtowne, a radykalne powywracanie dotychczasowych urządzeń społecznych, czy też klasy pracujące powinny zdobyć zapewnienie materyalnego bytu, bez zmiany stosunku do właścicieli i narzędzi pracy, zawsze nastąpić to może wtedy, gdy warstwy robocze posiadać już będą siłę materyalną, świadomość umysłową i moralną odpowiedzialność. Łączenie się biedaków dla jakichś celów chwilowych może być środkiem tymczasowym, mającym i złe strony, ale jest jedyną drogą do stworzenia klasy, jest pierwszym szczeblem do zainteresowania się sprawami, sięgającemi po za progi potrzeb rodziny. U nas, niestety, zaczęto staczać zaciekło walki o los pracujących mas w odległej przyszłości, pisano programy „partyj robotniczych," odsądzono od czci i wiary społeczeństwo za zachowanie się względem „kwestyi proletaryatu," wprzód zanim jakiekolwiek życie zadrgało, lub nawet zadrgać mogło w bezpośrednio zainteresowanych sferach. Wyrywania się z bezrobociami nie w porę i bez planu, chociażby z konieczności i walk na pięście, uzasadnionych nawet, z inżenierami, nazwać nie można przejawami życia *klasy*. Pierwsze objawy solidarności mogą być naturalnie bardziej rozrzewniające, niż praktyczne, to treści rzeczy nie zmienia. Nie na tem jednak kończy się dodatnie znaczenie faktu. Wielu myślicieli lęka się nadejścia czasów, gdy władza przejdzie do rąk większości liczebnej, do czarnych tłumów; trwoży ich myśl, że dzikie popędy materyalne zgruchoczą dziejowe nabytki cywilizacyi. Obawa taka stanie się płonnem przywidzeniem, jeśli usiłowaniom robotników przyświecać będzie płomień miłości bliźniego, zamiast ślepej nienawiści dla właściciela, nadzorcy lub co gorzej maszyny, jeżeli nauczą się oni stawiać interesy ludzkości po nad widokami klasy, altruizm — po nad egoizmem. Proletaryat dowiódł już nie raz, iż posiada daleko więcej bezinteresowności i szlachetnych popędów, niż przypuszczają jego pseudo-trybuni.

Że rzeczywiście zmysł zaradczości dotąd nie przebudził się jeszcze u nas wśród wyrobników, za dowód służy i drugi fakt z mej teki. Dziś dopiero pomyślano w Zawierciu o pozbawieniu bohaterów lichwy monopolu w dostarczaniu spożywczych materyałów kilkutysięcznej ludności tamtejszych fabryk.

Co prawda, to koleje naszego żywota nie pozwoliły również na świetny rozwój i w tych kołach społecznych, którym o wiele łatwiej przebijać drogi wśród skał, twardszych nieraz, niż wnętrze St. Gotardu. Musimy podnosić i cieszyć się z powstania projektów, które gdzieindziej od świętej pamięci stały się czynem i zatraciły zupełnie metryki pochodzenia. W Płocku zawiązuje się Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, kaliska inteligencya zamierza znowu utworzyć Towarzystwo gimnastyczne. O znaczeniu pierwszej instytucyi każdy u nas wie dobrze. Mieliśmy sposobność przyjrzeć się podobnym z bliska, a przytem więcej dbaliśmy zawsze o kredyt niż o zdrowie, częściej musieliśmy szukać ratunku w biedzie, niż myśleć o zabezpieczeniu się pod jakimkolwiek względem na przyszłość. Nie trudno jednak zrozumieć dobre strony zbiorowych, systematycznych i umiejętnych ćwiczeń mięśni. Stowarzyszenia podobne istnieją w najdrobniejszych mieścinach szwajcarskich, w Niemczech ich dużo, a ostatnimi czasy we Francyi, nawet w Austryi wzrosła bardzo liczba zarówno samych instytucyj jak i członków. Należałem przez czas długi do Towarzystwa gimnastycznego, na podstawie więc własnego doświadczenia życzyć mogę kaliszanom doprowadzenia zamiaru do skutku... tylko że... *utinam sim fal*... Panowie z Kalisza, rozum i energia wiele może.

W Miechowie, po odmownej odpowiedzi na prośbę o założenie rządowego gimnazyum, powstaje prywatne. W Kutnie w podobnym celu zawiązał się komitet i rozesłał odezwę, wzywającą ogół do ofiarności. Jestem przekonany, że okolice bezpośrednio zainteresowane hojnie sypną groszem na tak pożyteczny cel, ale się nieco lękam, aby mieszkaniec powiatu krasnostawskiego lub maryampolskiego nie przeszedł spokojnie, po przeczytaniu odezwy, do dalszych wiadomości bieżących, pomyślawszy: ja tam syna do Kutna nie poślę! A jednak bez tłomaczenia każdy łatwo zrozumie że ze światła, nieconego w jednem miejscu, korzystać będzie nie powiat jedynie, lub gubernia, lecz kraj cały. Gimnazya nie powinny przecie służyć za miejsce do wypraw wiania dzieci z domu, lub za szczebel do karyery jednostek, lecz mają dawać narodowi rozumnych obywateli. Przychodzi mi na myśl, że kiedy szkoły prywatne stały się tak gwałtowną potrzebą u nas, czyby dobroczynność testamentowa nie chciała zwrócić łaskawego oka w tę stronę; nie jestem prawnikiem i nie wiem, jak to dałoby się zrobić, ale przecie...

A teraz przewrócić trzeba kartkę i przejść do ciemnych stron naszego żywota. Niestety tylko balom dobroczynnym zdarza się ginąć w niepamięci wraz ze skutkami w ciągu jednego tygodnia. Wszelkie nieszczęście, jak powódź, choć cofnie swe fale, pozostawia za sobą na długo smutny ślad natrętnych odwiedzin. Oto, co mówi korespondent *Kaliszanina* z pod Lututowa (pow. wieluński): „Oziminy u nas, dzięki Bogu wyborne, żyta wyrosło i kłosisto, a kłosy bardzo ziarniste. Jest więc nadzieja obfitego plonu. Włościanie już młócą żyto, bo brak zboża w Czerwcu był już u nas ogólny. Rzadko był gospodarz, któryby nie był zmuszony kupować ziarna lub chleba. W wielu wsiach już czarna mara głodu do chaty zaglądała!... Za nędzą idzie zaraz niemoralność, jej córa. Kradzieże więc i oszukaństwa są na porządku dziennym. Stąd niezliczone procesy. Nieszczęsne postano-

wienie, że tabela likwidacyjna stanowi jedyny dowód własności gruntu, bez względu na dawniejsze prawo, pomimo ukazu z roku 1864, przyznającego włościanom własność ziemi, a nawet dawniejszych praw z r. 1806, wywołuje pewnie wszędzie niezgody familijne, zrywanie umów, na owe czasy prawnie zawartych, a szczególniej wyrywa z serc ludzkich ostatnią iskierkę miłości rodzicielskiej z serc dzieci. To podeptanie prawa natury, te łzy i złorzeczenia rodziców, wyganianych przez dzieci na żebraninę z nędzy, to pozbawianie ich utrzymania i dachu, dlatego, że w tabeli nie są zapisani, smutny bardzo robi horoskop na przyszłość... A kto za te smutne i dzikie następstwa odpowie? Na kim ostatecznie odbije się owoc tej poniewierki?" Bogu to wiadomo — przychodzi do wniosku korespondent, ja myślę, że ludzie sami potrafiliby dosyć o tem wszystkiem powiedzieć. Przed historyą odpowiedzą — różni, ale owoce dzikich obyczajów i moralnego rozprzężenia długo jeszcze spożywać będzie wyłącznie nieszczęśliwy naród. A co na to poradzić, jak przeciwdziałać szerzeniu się zgnilizny na przyszłość? Cóż ty, czytelniku, w tym razie potrafisz zrobić, gdybym ci nawet powiedział.

Wydając w zeszłym numerze pobożne westchnienie, aby jaki mieszkaniec Radomia pomyślał o zachowaniu nadal środków czystości, przedsięwziętych na przyjęcie cholery, ani przypuszczałem, że życzenie moje tak natychmiastowo się spełni. Korespondent z tego właśnie miasta do *Gazety polskiej* zwraca uwagę na sanitarne warunki swej rezydencyi. Utrzymuje on, że komitet żaden nic zrobić nie może. A to dlatego. Członek sanitarnej instytucyi zwraca się do gospodarza domu z żądaniem usunięcia brudów z podwórza, ten bez namysłu daje mu brutalną odprawę, trzeba więc udać się do policyi, co jest sprawą w naszych stosunkach, każdy zrozumie, nieprzyjemną. To jednak nic wstrzymuje członka, ale ponieważ i policya niema dosyć powagi dla wytrwałego właściciela nieruchomości, więc sprawa dostaje się na drogę sądową, do której końca dojść, jak wiadomo, można po paru miesiącach dopiero, kiedy już błoniste wzgórza, o które chodzi, dawno zostały usunięte przez nasze nogi, nosy, płuca.

Według więc szanownego korespondenta nic zrobić nie można. Jestem o wiele mniej pesymistycznego usposobienia i zdaje mi się, że gdyby mieszkańcy Radomia krzyczeli tylko głośno w tej sprawie, gdyby domagali się otwarcie i wytrwale od panów właścicieli zrzeczenia się dotychczasowych upodobań, gdyby potrzeba czystości rzeczywiście żyła wśród nich i co krok się przejawiała, to wkońcu bez pomocy rewirowych i mirowych nosy ich i zdrowie zyskałyby pomyślniejsze warunki prosperowania.

Ten sam korespondent opisuje przytem, jakie tam u nich w Radomiu kanały, ścieki, targi, jatki, doły itp. miłe, a przedewszystkiem wonne urządzenia. Uprzytomniwszy sobie to wszystko, człowiek przestaje bać się wszelakiej zarazy morowej, bo jeżeli mara ta posiada choć cokolwiek zastanowienia, to zrozumie, że dwa grzyby w barszcz za dużo i nie przyjdzie do nas. A gdyby nawet przyszła, to rzecz niewielka, co tam jej bakterye znaczyć będą wobec tego, co już jest.

Wogóle zresztą z azyatycką cholerą pół biedy po wystąpieniu takich poskromicieli, jak Koch i Pasteur; z amerykańskiej za to nie sposób drwić sobie wobec tego, że dotąd żaden ekonomiczny lekarz nie zrobił ścisłej dyagnozy i nie wynalazł skutecznej recepty. Zaatlantyckie widmo dotychczas zdaleka tylko wyszczerzało zęby, aż nagle i niespodziewanie udarowało nas swym jadowitym pocałunkiem. Obawialiśmy się konkurencyi płodów ziemnych amerykańskich na rynkach zachodnich, a tymczasem zuchwali Yankesi zaatakowali nas w naszym własnym domu. Tulonem dla smutnej zapowiedzi stał się skromny Staszów, niewinny Bieżuń, i inne podobno miasteczka, w sklepikach których pojawiła się mąka z zamorskiej kukurydzy. Jednocześnie z Odessy nadchodzą trwożne wieści, że niskie ceny zboża spadają jeszcze, a popytu z zagranicy niema żadnego.

Miano cholery, przypięte do napływu kanadyjskiego zboża, wymaga naturalnie omówienia. Stając na stanowisku ogólnem, cieszyć się tylko trzeba ze wzrostu bogactwa ludzkiego i możności produkcyi tańszej, niż dotychczasowa. Mając na widoku nawet nasze interesy wyłącznie, lecz zapominając o warunkach czasu i miejsca, również niema zbyt czego się trwożyć—działalność, siły wytwórcze, zepchnięte z jednego pola wejdą na inne, zachwiana równowaga po jakich tam kilku cięższych latach powróci i ekonomiczna racya bytu odzyskaną zostanie. Wszystkie narody zachodu przechodziły podobne przesilenia i dziś się rozwijają, obawiając się coraz mniej konkurencyi obcej. Tylko, że inni mieli w walce o byt po swej stronie siłę zorganizowanej zbiorowości, a my nie możemy być pewni nawet, że ona nie zwróci się przeciw nam. Bez wszelkich nadzwyczajności drżeć trzeba było ciągle o wątły wzrost dobrobytu, lada tchnienie nieprzychylne mogło go było ściąć. Kraj niezbyt bogaty, kapitały niechętnie wchodzą w ruch, nieznajdując sprzyjających warunków. Przejście od jednej gospodarki do drugiej jest wogóle chwilą ciężką, a cóż dopiero, gdy się odbywać będzie z nożem tak silnie przyciskanym do gardła, z ciągłą obawą śmierci głodowych w kraju, pełnym niesprzedanego zboża, ze słabiuchną jedynie nadzieją jakiejkolwiek pomyślnej interwencyi. Przesilenie więc, w które wkraczamy, przebywać będziemy przy najnieszczęśliwszych warunkach, liczyć możemy tylko na siebie, na działalność i pracę jednostek. Energia nasza i przedsiębiorczość wystawione będą na próbę, jakich niewiele przebywały dotąd. Przedewszystkiem jednak zdobyć się należy na przezorność, mąka z kukurydzy w Bieżuniu to zbyt groźne i pewne ostrzeżenie, aby go puścić mimo uszu. Od specyalistów domagać się mamy prawo, aby nam oświetlili dokładnie stan rzeczy i poradzili w jakim kierunku szukać należy ratunku. Bez takich teoretycznych wskazówek może się sporo sił stracić na nieudatne próby, a sił i tak mamy niewiele, potrzeba zaś ich bardzo dużo. Oby tylko jak najmniej propagandy prowadzili dyletanci-literaci, bo rzecz to zbyt poważna.

Odessa. Obracająca milionami stara firma zbożowa „Sewastopulo" zawiesiła wypłaty. Pasywa wynoszą 1,000,000 deficyt zaś 300,000. Straty spadną podobno na zagranicznych bankierów wyłącznie.

Nasz... Znicz.

Corocznie, jak tylko słońce żywiej przygrzewać zaczyna ziemię, kraj nasz cały pokrywa się łunami pożog. Ze wszech stron płyną wieści o wypadkach nieostrożności, o umyślnych podpaleniach, o rodzinach bez dachu, o straconem mieniu, o poczerniałej ruinie. Płoną miasta i miasteczka, domy i stodoły, sterty i stogi; nawet drzewom w lasach straszny płomień darować nie chce, jak gdyby pragnął z rozpaczy w popiół zamienić choć część tego bogactwa, co tak obficie płynie Narwią, Bugiem i Wisłą do niemieckich kieszeni. Tegoroczne wylewy wody majestatem swego ogromu do żywszego ruchu pchnęły miłosierdzie ogółu i myśl o środkach zaradczych. A jednak gdyby podsumować straty zrządzone przez żywioł przeciwny w większych i mniejszych wypadkach, we wszystkich zakątkach naszej ziemi, to otrzymana cyfra doszłaby może, lub mocno się zbliżyła do wartości spłókanych plonów. Assekaracya w Towarzystwach ubezpieczeń rozkłada tylko na ogół klęskę jednostek, ale nie zmniejsza donioslości w utratach bogactwa narodowego.

Znam tylko jeden przybytek, którego dotąd nie zdołał oświecić blask ogni pożarowych. Łuny, pochłaniające chudobę, nie potrafiły wywołać w głowach naszych świtania myśli zaradczej. Holendrzy zakreślili granicę potędze rozhukanych fal morskich, czyż my nigdy nie potrafimy dać sobie rady z ogniem?

Czy jest wśród sił natury potęga większa, niż energia i myśl ludzka! Najbardziej niepokonane żywioły, niegdyś groźące zagładą, dziś obezwładnione wywołują lekceważenie, lub, co więcej, uległe służą woli naszej. Cholera umiejscowiona, wścieklizna usunięta, pioruny bić muszą w rozkazane punkty, uregulowane rzeki poruszają koła maszyn, przepowiedziane burze straciły połowę swej niszczącej siły, same klimaty złagodzone, czyż tylko my nie zdołamy nigdy złamać naszej własnej niedbałości, nie zdobędziemy się na przezorność, nie potrafimy wyrwać z pośród siebie dzikich instynktów zniszczenia!

O ochotniczych strażach ogniowych niezapomniałem. Instytucye te budzą we mnie od chwili swego zawiązku, aż po dziś dzień najżywsze uznanie, pragnąłbym, ażeby w rozwoju swoim nie pominęły najlichszej mieściny, wioski nawet, jeśli to możebne. Ale straże same wystarczyć nie mogą, jak nie wystarcza nigdy dla usunięcia złego zmniejszanie doniosłości skutków.

Pomijam nawet to, że, spotykając na drodze swej, jeżeli już nie stanowcze przeszkody, to w każdym razie poważne zawały, nie mogą one szerzyć się z szybkością, odpowiednią szaleniu żywiołu, znajdującego w pochodzie same tylko ułatwienia; nie mogą dojść do takiego stanu, aby sprostać sile ognia, któremu od niepamiętnych czasów przygotowano same dogodności.

Po za sferą, wypadkowych niejako, przeszkód, straże ochotnicze w małych miasteczkach, a tembardziej we wsiach przy każdym pożarze stawać będą wobec nieprzezwyciężalnych trudności, wyrastających z samego miejscowego gruntu. Domy mieszkalne, budowane w ogromnej ilości wypadków z drzewa, doprowadzone są przez słońce do doskonałości drzazg podpałowych, jakiemi nie codzień i nie każda kucharka pochwalić się może. Zabudowania gospodarskie prócz wspólnych z głównymi budynkami przymiotów posiadają jeszcze zawsze słomiane dachy i szpary, co uławiają wejście płomienia do środka i wzbudzają bardzo pomyślny dlań przeciąg. Jeśli zdarzy się wiatr podczas pożaru, wtedy gorejące strzępy słomy latają po powietrzu, jak niegdyś ogień grecki, padają na dachy bardzo nawet odległe i kilka minut wystarczy, aby całe miasteczko stanęło w ogniu. Najniewinniejsze gdzieindziej zapalenie się sadzy w kominie może doprowadzić u nas do zupełnej ruiny. Stolica nasza nie jest wstanie posiadać dosyć udoskonalonych (kosztownych) narzędzi i liczby ludzi, którąby mogła z dobrym skutkiem zapobiedz nieszczęściu przy takich warunkach; a cóż dopiero mówić o Kurowie lub Mińsku!

Ale to jeszcze nie koniec obrazu. Wszystkie nasze powiatowe grody i osady posiadają dzielnice, zaludnione przez izraelitów, zabudowane w ten sposób, jak gdyby labirynt egipski służył im na pierwowzór. Do wnętrza oficyn, komórek, chlewków, kuczek z łatwością, prócz gospodarzy, dostać się może tylko ogień. Dla wprowadzenia narzędzi obronnych wewnątrz, trze-

baby robić tak dokładną ruinę, jaką, poczekawszy chwilkę jeszcze, uczyni sam pożar. Ludzie rzuciwszy się tam na ratunek, ponieważ nie mają czasu myśleć o nitce Aryadny, bardzo łatwo mogą udusić się od dymu, wśród niezliczonych sieni, przejść, zaułków, zanim zdołają wrazie potrzeby odszukać wyjście.

Same więc straże ogniowe, choć *niezbędnie potrzebne*, wystarczyć nie są wstanie do usunięcia klęski. Trzeba wynaleźć inne jeszcze środki, ale jakie?

Należy pomyśleć o osłabieniu (przynajmniej) przyczyn i warunków, sprzyjających pożarom. Najgorszą może w tem wszystkiem jest niedbałość, nieostrożność szczególniej niższych warstw przy obchodzeniu się z ogniem i materyałami palnymi. Wady, wrosłe wiekami w krew i kości całego niemal społeczeństwa, dadzą się usunąć tylko powoli, na drodze długiej, mozolnej pracy. Niestety, w rękach inteligentnej części narodu brak środków skutecznego oddziaływania, ten niemniej jednak tu i owdzie pozostały punkty zetknięcia i należy dbać o to, aby zrobić co można i jak można. Więcej już daleko dałoby się prawdopodobnie zdziałać pod względem zmniejszenia liczby pogorzeli, powstałych z umyślnego podłożenia ognia. Tu także najskuteczniejsze środki leżą po za sferą naszej możności. Mamy przecie pośród siebie urzędników, którzy prowadzą sprawy o podpalenie. Ci nie powinni zbywać ich jak suche spełnienie zajęć służbowych, ale, stając wobec groźnej choroby społecznej, mają obowiązek włożenia w czynność swoją całej energii i dobrej woli. Dojście do źródła, zbadanie przyczyn faktu, znalezienie przestępcy i dopilnowanie, aby usuniętym został ze społeczeństwa, może przynieść znakomite korzyści. O tem samem powinni pamiętać adwokaci; obowiązki ich względem społeczeństwa są nieskończenie większe, niż zobowiązania względem klienta-zbrodniarza.

Księża głoszą się i są uważani za moralnych kierowników narodu; jeżeli tak, to niechże pamiętają, że odpowiedzialność za ujemne objawy na nich przedewszystkiem spada. Ambona i konfesyonał to nietylko potężny, ale dziś jedyny może środek oddziaływania na lud. Często samego podpalacza bezpośrednio dosięgnąć nie można, ale należy tak usposobić otoczenie, aby w swem łonie nie zniosło potwornego występku. W pracy tej pomogą im z pewnością ci, co drukowanem słowem przemawiają do ludu.

W ostatnich czasach tu i owdzie rabini zdobyli się na jakiś czyn obywatelski, wychodzący po za granicę kahałów i wyłączności wyznaniowej. Czyżby warszawska polsko-żydowska inteligencya nie mogła spróbować użycia swego wpływu w pożądanym kierunku? Wszelkie usiłowanie zawsze jaki taki skutek przyniesie.

Prócz moralnych często środków zapobiegawczych istnieją i powinny być użyte inne jeszcze, doraźne. Upilnować podpalacza trudno, ale jednak gdyby urządzono warty po wsiach i miasteczkach, gdyby energicznie dopilnowano ich czujności, to by może tu i owdzie przeszkodzono klęsce. Zdarza się dwa, trzy wypadki na rok w jednem miejscu, a mieszkańcy, kładąc się spać, tylko niepokój w sercu i znak krzyża świętego mają na swą obronę.

Istnieje Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, czy nie mogłoby się zawiązać Towarzystwo Zachęty do porzucenia pierwotnego sposobu budowy? Czyż wiecznie będą u nas domy układane z czworograniastych dylów, a stodoły z okrągławych? Czy słomie nigdy nie zostanie odjęty monopol chronienia ludzi od deszczu i przykrywania jedynego ich mienia? Widziałem w Szwajcaryi wioski bardzo biedne na górach, a jednak domy pod względem trwałości mogłyby uchodzić za pałace wobec naszych chat i lepianek. Nie jestem w tej sprawie kompetentny, ale myślę, że już czas, aby się nią zajęli znawcy. Trudno zapewno poradzić sobie z budulcowym materyałem u nas; holendrzy jednak ujęli morze w karby i piaski użyźnili. Radą, przykładem, udzieleniem zaliczki tyle się już zrobiło.

Teraz występuje pytanie, kto u nas powinien zająć się zaprowadzeniem w ruch wszelkich możliwych środków ochronnych przeciwko pożarom? Zdaje mi się, że wielkiej ruchliwości i przedsiębierczości od tej klasy, którą nazywają szlachtą, ani spodziewać się, ani wymagać nie można. Znatury swojej jest ona ociężałą. Całe więc brzemię inicyatywy spada na inteligencyę miejską. W ostatnich czasach żywioł ten dowiódł wielkiej energii i wytrwałości. Za staraniem jego powstały szkoły, kasy, szpitale, urządzane były loterye, teatry itp.; jemu też jedynie zawdzięczać trzeba zrodzenie się straży ochotniczych. Życzyć więc należy, aby dopełnił swe dzieło i użył wszelkich środków do osłabienia doniosłości klęski chronicznej.

O wszelkich trudnościach możliwych, dających się przewidzieć i niedających, pamiętam — kto u nas potrafi o tem zapomnieć! Ale właśnie dlatego, że jest ich tyle, zrażać się niepodobna. Po zgonieniu z jednej drogi, trzeba się cisnąć na inne, póki i te się nie zamkną. Zestrzeliwszy wszystkie istniejące siły w jeden punkt, zawsze się coś zrobi, zawsze się dojdzie do czegoś. Nie dosięgniemy celu pożądanego, ale jeden krok naprzód — to także postęp.

Gaśmy więc ten nasz sromotny, a często zbrodniczy... Znicz.

Ludwik Straszewicz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 21 sierpnia.

Znowu żelazny książe do dna samego zakłócił spokój opinii europejskiej. Mniejsza z tem, że przyjmował w Warcinie hr. Kalnocky, bo ostatecznie niewiadomo nad czem tam radzili, ale napełnił dzienniki kontynentu i wysp rozprawami o swej nienawiści dla Anglii i serdecznej przyjaźni dla Francyi.

Bismark chce, a może i potrzebuje puścić się na fale polityki kolonialnej. Liczniejsi niż gdziekolwiekbądź wychodźcy z Niemiec do Ameryki toną wśród tamtejszej anglo-saskiej ludności, a europejska ojczyzna żadnej z nich korzyści ciągnąć nie może. Na wschodzie nie wiedzie się znowu tak świetnie awangardzie niemieckiej, aby niezbyt skromne życzenia kanclerza mogły być zadowolone.

Tymczasem co dzień to prawdopodobniejszem się staje, że Afryka ilością i jakością bogactw przejdzie Australię i Amerykę. Założenie kolonij w takiej nowej kalifornii może być bardzo rzeczą korzystną i przy ekonomiczno-społecznych kłopotach bieżącej chwili niezmiernie ważną i pożądaną. Ks. Bismark za punkt wstępnych operacyj obrał miejscowość, położoną na południowo-zachodniej stronie Afryki i zwaną Angra-Pequena. Anglikom naturalnie nie podobało się bliskie sąsiedztwo nowego współzawodnika, zrobili więc wszystko, aby utrudnić lub nawet uniemożebnić rozwój kolonii niemieckiej. Parlament na przylądku Dobrej Nadziei ogłosił morza i ziemie, otaczające Angra-Pequena, za własność flagi angielskiej. Ks. żelazny niema zwyczaju kochać tych, co mu stają na drodze, jak równie krępować czemkolwiek swych uczuć, to też przy najpierwszej sposobności dał znać anglikom o swej niełasce. Taki był powód kokietowania Francyi na konferencyi londyńskiej. Zdaje się jednak, że akcya ściśle dyplomatyczna nie poszła o wiele dalej. Natomiast nieprzebraną jest powódź artykułów w dziennikach urzędowych, półurzędowych i niezależnych. Sfora kanclerska rzuciła się z jadłością na przeszłość i teraźniejszość polityki angielskiej, wyliczając i malując wszelkie dyplomatyczne grzechy, ze znajomością rzeczy, zdradzającą długoletnią praktykę. Pisma londyńskie nie zwlekały z odpowiedzią. Pogarda i lekceważenie stanowią panujący ton wszystkich odpraw. Tak dotkliwych razów nigdy chyba jeszcze nie dostało nowo-germańskie cesarstwo. Francuzi i inne narody, mające dotąd doczynienia z butą nadspreiską, zbyt żywą powodowały się nienawiścią, aby mogły tak dobrze skierować pociski.

Wizyty i rewizyty austro-niemieckie są naturalnie w ścisłym związku z zatargiem o kolonie. Paryskie dzienniki nadspodziewanie przychylnie przyjęły myśl o możności przymierza z dwoma środkowo-europejskiemi cesarstwami. Anglia wcale nie kładzie swych sympatyj po stronie republiki w zatargu tonkińskim, egipskie sprawy mocno nadwerężyły dobre stosunki dwóch sąsiadek z nad La-Manche. Zdawać się więc może, że przed miesiącem jeszcze monstrualny projekt sojuszu Francyi i Niemiec stanie się rzeczywistością. Chyba jednak sam ks. Bismark nie bardzo wierzy w możliwość czegoś podobnego i ze względu na dawniej przyjęte zobowiązania z innemi państwami, i ze względu na pamięć Gravelotte, i ze względu na to, że interesy handlowe Anglii i Francyi są dziś nierozerwalne.

Nakazano milczenie na chwilę w Paryżu uczuciom po stracie Alzacyi, aby z jednej strony dać upust urazie za Egipt, a z drugiej spróbować czy się nieda Johna Bulla postraszyć.

Ferry energicznie poczyna sobie z Chinami: uzyskał od Izby kredyt i wotum zaufania, a jednocześnie polecił admirałowi Lespès zająć port Ke-Lung na Formozie, i cytadelę Hue, jako gwarancyę wynagrodzenia przez Chiny za złamanie traktatu. Ostatnie wiadomości w tej sprawie są sprzeczne z sobą. Według jednych Państwo Niebieskie odwołało się do pośrednictwa Stanów Zjednoczonych i mocarstw europejskich, według innych wysłało wojska przeciw francuzom. Ostatecznie rząd francuski żąda 80 milionów, wypłacalnych w rocznych ratach przez lat 10.

Parowie angielscy godnie odpowiedzieli na rzuconą sobie przez gminy rękawicę. Lord Salisbury wraz z lordem Churchil zwołali meeting do Manschester, w którym udział przyjęło 50,000 ludzi (w Hyde-parku reformiści zgromadzili tylko 30 tysięcy). Ostro i energicznie napadano na politykę partyi Gladstona. Wygląda to na zręczny manewr, celu przywalenia innemi sprawami bilu wyborczego.

W Belgii nie nastąpiło jeszcze uspokojenie umysłów. Jacobs ani myśli porzucić swych zamiarów w sprawie reform szkolnych, a Rady miejskie coraz gwałtowniej domagają się rozwiązania Izby. 200 aż burmistrzów zobowiązało się uroczyście bronić ustaw liberalnych. Aż do czasów panowania hiszpańskiego trzeba się było cofnąć, aby znaleść w historyi fakt analogiczny.

Madryt. Znany hiszpański respublikanin-rewolucyonista Zorilla, przebywający w ostatnich czasach w Szwajcaryi, został skazany zaocznie na śmierć.

CUDZE GŁOSY.

Dobry przyjaciel nasz z *Now. Wremieni* wytrwałą pracą zdobywa wciąż nowe laury. Nie może trafić na trop upragnionej

zwierzyny i zwraca uwagę myśliwych na miejsce, gdzie śladów nawet „intrygi" niema. *Gazeta polska* przytacza z *Rus. Kurjera*:

„Znany p. Mołczanow—czytamy między innemi—ten sam Mołczanow, który, przebywającego lata na kumysowej kuracyi w gub. *samarskiej*, *fabrykował* korespondencye do *Now. Wr. zpołudniowych gubernij*—jeszcze w marcu b. r. nabredził w tej samej gazecie o „tajemnym" rektorze „eszibotu" w Wołożynie. (Wołożyn — miasteczko w gub. mińskiej, posiadające za pozwoleniem rządu zakład naukowy żydowski eszibotem zwany). Otóż p. Mołczanow, umiejąc jakoby po „hiszpańsku," osobiście—jak pisał — rozmawiał z owym rektorem i na jego konto przytoczył nieistniejące w rzeczywistości cytaty z dzieł zmyślonych jakichś *Inflisów* i *Hansfriedów*, zalecających żydom rozbójnicze zasady przeciw *goimom*. Zaraz po wydrukowaniu tych fałszów w organie p. Suworina *Ruskij jewrej*, *Hamelic* i inne pisma faktycznie dowiodły, że wszystko to nie jest niczem więcej, jak *dzikim owocem rozwydrzonej wyobraźni mołczanowskiej*; że żadni Inflisowie i Hansfriedy nie istnieją i—że p. Mołcz. w Wołożynie wcale nie był i z rektorem eszibota nie rozmawiał. Każdy porządny organ—pisze dalej *Ruskij Kurjer*—wstydziłby się popełniać świadomie kłamstwa i fałsze. *N. Wremia* jednak nie pojmuje, co to jest wstyd... Dalej, jak nazwać taki postępek? Rabin wołożyński, ów fikcyjny „rektor eszibotu," dołączywszy urzędowe poświadczenie miejscowej policyi, że w ciągu tego lata żaden p. Mołczanow w Wołożynie nie był, przesłał do *N. Wrem.* zaprzeczenie, że p. Mołczanowa nie oglądał wcale, a więc i rozmawiać z nim nie mógł. *N. Wremia*, jak donosi *Hamelic*, w nr. 47 odmówiła wydrukowania powyższego zaprzeczenia. W ten sposób *zuchwałe a bezczelne kłamstwa* reportera odniosły z woli samej redakcyi — zwycięstwo nad prawdą. Czy tak postępuje uczciwa redakcya, czy też to przystoi jaskini *Rozbójników pióra*? Niech na to odpowie opinia publiczna."

Gospodarka austryacka w Galicyi. Nanajbliższej sesyi wiedeńskiej Rady państwa wejdzie pod obrady projekt regulacyi rzek galicyjskich. Aby ktoś nie wszczął hałasu, że to nowy „prezent" dla polaków, *Gazeta narodowa* dowodzi, iż rząd austryacki ma szczególniejsze zobowiązania względem kraju, którego zasobami szafował tak:

„Wiadomo, iż w Karpatach znajdują się źródła prawie wszystkich rzek naszych. Wiadomo także, jak silny wpływ wywierają lasy górskie na złagodzenie spływu wód z gór w doliny. Tymczasem wskutek niesumiennej, rabulistycznej gospodarki mieniem krajowem, t. j. niegdyś dobrami koronnemi, dawnych rządów austryackich, zmarnowano u nas olbrzymie przestrzenie lasów górskich. Według obliczenia pewnego znawcy tych stosunków, opartego na aktach urzędowych, sprzedały dawne rządy austryackie wraz z b. dobrami koronnemi ogółem 854,770 morgów lasu (85½ mil kwadratowych!), z czego przypada 580,213 morgów na lasy w Karpatach. W jakim zaś sposób sprzedaż odbywała się, objaśnić może parę następujących przykładów:

a) Dobra Zakopiańskie sprzedane zostały w r. 1824 za 65,030 złr. Oprócz budynków, pól ornych, łąk i pastwisk obejmowały one 11,460 morgów lasu. Nie licząc wszystkiego innego, jak tylko same lasy, wypada morg lasu z gruntem i drzewostanem wspaniałem po złr. 5,65.

b) Dobra Czarny Dunajec, Chochołów i t. d. z obszarem 6,820 morgów lasu sprzedano w r. 1819 za 11,501 złr., a więc po 1,7 złr. za mórg (!!!).

c) W nowszych już czasach sprzedano Nadwornę z 140,000 lasu za 500,000 złr,—morg po 3,5 złr., wyraźnie: trzy i pół guldena!

W jakim stanie znajdują się dziś lasy w tych dobrach, tak marnie puszczonych przez biurokracyę austryacką, wiadomo każdemu, kto tylko miał sposobność widzieć je dzisiaj. Żeby tylko po 100 złr. cenić wartość morga lasu z gruntem, to już około dziewięćdziesięciu milionów złr. wynosi suma wartości lasów w dawnych dobrach koronnych w naszym kraju, które oddane zostały na pastwę prywatnej spekulacyi."

Mówią tu cyfry same za siebie. Dobra wyż wymienione przeszły nadto po większej części w ręce niemców, którzy niszcząc nielitościwie lasy, przyczynili się niemało do strasznych, a corocznych niemal wylewów rzek w Galicyi i Królestwie Polskiem.

Obywatelski dyplom otrzymują żydzi litewscy od jakiegoś korespondenta *Grażdanina* (pismo w duchu p. Katkowa).

„Jakże miło jest sercu przekonywać się z każdym dniem więcej, że sprawa nasza postępuje pomyślnie i praktycznie, bez fanfaronady i bez komedyi. Jestem tu od niepamiętnych już czasów, a dziś dopiero zaczynam już trochę wierzyć, że istotnie kraj północno-zachodni stanie się wkrótce *niepowrotnie* rosyjskim. Rzeczświeszna, a jednak tak jest: dowodem tego — żydzi. Pomiędzy sobą nawet mówią już oni po rosyjsku, nietylko w Wilnie, ale i na prowincyi. Dzieci i żony ich rosyjskie zaczynają odbierać imiona: „mój Wołodio," „moja Soniczka" itd. Historyczny to znak czasu. Z polakiem żyd koniecznie mówi po rosyjsku; mówi więc i polak za nim. Akcent polski w mowie rosyjskiej słyszeć się daje ciągle; a już dzieci tych polaków, mówiących z polska po rosyjsku, w szkole junkrów, w gimnazyach mówią po rosyjsku czysto, jak sami rosyaninie. Przytem, ważną jest jeszcze jedna okoliczność: widać i bardzo widać napływ ludności z Rosyi. Lud po miastach przychodzi powoli do przekonania, że jest on istotnie rosyjski. Nie mało dopomaga temu żydostwo. Ale co do własności ziemskiej, to ta po dawnemu trzyma się brzydko."

Przykre myśli nasuwa petersburskiemu *Echu* stan finansowy kraju.

„Wpatrzywszy się dobrze w ekonomiczny nasz stosunek do zachodnich państw, widzimy obraz rzeczywiście okropny... Każdy nasz papier pożyczkowy, wewnętrzny czy zewnętrzny, cudzoziemiec przy dzisiejszym kursie rubla za swoje pieniądze nabyć może po *pięćdziesiąt kopiejek za sto* t. j. jeżeli wypuszczamy np. pożyczkę w formie biletu bankowego na sumę 100 rs., to cudzoziemiec płaci swemi pieniędzmi tylko 50. Tym sposobem 5%, otrzymanych za ten papier, zamienia się już dla cudzoziemca na 10%, a więc w ciągu dziesięciu lat otrzymuje on od nas podwójny kapitał. Z innemi wartościami otrzymuje się jeszcze okropniejsza proporcya. Jeżeli np. nabyć za zagraniczne pieniądze obligacyę petersburskiego Towarzystwa Kredytowego miejskiego, to trzeba zapłacić tylko 45 kop. za rubla, innemi słowy otrzymywać za swój kapitał 21½%. Czy to położenie nie jest czysto niewolnicze? Czyż nie stanowimy z całą naszą 90 milionową ludnością prostych wyrobników kapitalistów zachodnich."

Dziwna rzecz, że takie smutne przeświadczenie o swym losie we wstępnym artykule pisma, nie przeszkadza autorom dalszych szych szpalt bundziczyć się i od czasu do czasu wywieszać spłowiały sztandar wschodniego arystokratyzmu.

Propaganda wakacyjna. Tak nazywa *Gazeta narodowa* wędrówki studentów ruskich po kraju podczas feryj szkolnych. Przyznawszy, że nie umiemy dla siebie pozyskać ludu, tak dalej mówi:

„Rusini, którym można odmówić wszystkiego, tylko nie praktycznego rozumu, pojęli bardzo dobrze, że chcąc skutecznie oprzeć się na ludzie, potrzeba ten lud podnieść moralnie, obudzić w nim poczucie narodowe, tudzież pouczyć o obowiązkach względem kraju i rządu. W tym kierunku działają oni pismem, a daleko jeszcze skuteczniej żywem słowem. Obecnie ruska młodzież akademicka, skorzystawszy z feryj wakacyjnych, podzieliła się na partye i rozpoczęła rzemiennym dyszlem wędrówkę po wschodniej Galicyi, urządzając odczyty, wieczornice itd.

Cel tej misyi wycieczkowej jest podwójny: po pierwsze młodzież uniwersytecka, stykając się z ludem różnych okolic, nabiera krajoznawczych wiadomości, tak ważnych dla tych, którzy chcą dla ludu pracować; powtóre przez serdeczną styczność z ludźmi inteligentnymi włościanie nabierają pewnych pożytecznych wiadomości i podnoszą się cywilizacyjnie.

Czyż nie moglibyśmy i my robić coś więcej dla ludu oprócz szerzenia, że się tak wyrazimy, urzędowej oświaty? Czyż nasza młodzież akademicka nie mogłaby sobie wziąść ruskiej za przykład i czasu wakacyjnego użyć na tak miłą, jak ona, pracę? Obowiązek ten cięży w pierwszej linii na synach włościan mazurskich: ich słowa przyjmą włościanie bez tego niedowierzenia, jakiem przejmuje ich każdy inny surdutowiec z miasta. Towarzystwo oświaty ludowej w Krakowie, które rozwija wcale energiczną działalność, powinno zorganizować także ekskursye wakacyjne, jeśli już nie tego roku, to na przyszły, a nie wątpimy, że akademicy krakowscy, którzy tak dzielnie nieśli pomoc dotkniętym powodzią, potrafią nieść także pod słomiane strzechy światło nauki i ciepło miłości."

Brak wytrwałości. Na fundusz żelazny sceny polskiej w Poznaniu złożono dotąd w redakcyi *Dziennika poznańskiego* blisko 80,000 marek. Pismo rzeczone kwituje z tej sumy, pisze przecież:

„Fundusz nie powiększa się w takiej mierze, jak w pierwszej chwili. Kiedy bowiem jeszcze w r. z. liczyliśmy z każdego miesiąca składki na tysiące marek, dziś zaledwie wynoszą one kilkaset. A i te kilkaset marek zawdzięczamy po większej części tym starym i wytrwałym przyjaciołom sceny, którzy przez dwuletni przeciąg czasu nie ustali w staraniach swych około zwiększenia funduszu żelaznego i ciągle go zasilali i zasilają, już to własnym groszem, już złożonym na ich ręce przez innych. Nie wielu wszakże takich liczymy...

Mamy jednak nadzieję, że i inni zainteresują się tą sprawą, dotychczasowa bowiem kwota funduszu żelaznego nie jest dostateczną dla zabezpieczenia trwałości sceny. Dziwna rzecz, że wszyscy uznajemy konieczność istnienia tej sceny, a nie staramy się przyczynić do jej ustalenia. Inaczej postępowali i postępują czesi. Uznając konieczność istnienia teatru, uznanie to stwierdzili czynem. Po dwakroć w krótkim czasie złożyli po milionie złr. i dziś mają teatr, który jest ich dumą i zaszczytem, a zarazem i jednym z czynników rozwoju życia narodowego. Czyżby nam na energii i wytrwałości zbywało?..."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zakaz. Pisma rosyjskie ogłosiły spis autorów, których dzieła w myśl Najwyższego rozkazu z dnia 5-go (17) stycznia r. b. nie mają być wydawane ani w bibliotekach i czytelniach publicznych, ani w bibliotekach klubów, stowarzyszeń itd. Zachowujemy porządek taki, jak w oryginale: Agassiz, Alminski, Arnould, Bażin, Ballin J., Bagehot, Becher, Błagowieszczenskij, Biblkow, Büchner, Watson, Vermorel, Wiatskaja Niezabudka (pismo), Huxley, Debet, de Roberti (pisarz rosyjski), Denisjew, Dobrolubow, Josan, Żukowski (J. G.), Zarodymskij, Złatowratskij, Zola (Assomoir i Nana), Iskander (Herzen), Quetelet, Clarus, Kozakowskij, Colline, Lassalle, Lewitow, Lubbock, Lecchi, Louis Blanc, Lhuys, Leskow, Letniew, Lutostanskij, Lyell, L—v, Michelet, Mirtow (pseud. P. Ławrowa), Mierzejewskij, Marx, Michajłow, Michajłowskij, Mill, M. (Ławrow Listy historyczne), Moleschott, Mordowcew (Ruch polityczny narodu rosyjskiego), Nefedow (F.), Pisarew, Pomiałowskij, Proudhon, Portugałow (Doniosły ruch w żydowstwie), Prizow, Priłonskij (Myśli o nauce socyalnej przyszłości), Pfeiffer, Rochefort, Reszetnikow, Réclus, Slepcow, Smith (Adam), Spencer, Suworin, Sieczenow, Sudre, Flerowskij, Karol Vogt, Cebrikowowa, Zimmermann (Świat przed stworzeniem człowieka), Czernyszewskij (Powody upadku Rzymu), Szweitzer, Szełgunow, Scheer i Szczapow. Liczba wszystkich zakazanych dzieł wynosi 125, do tego dołączyć jeszcze należy następujące czasopisma: *Sowremiennik*, *Russkoje Słowo*, *Znanije*, *Słowo*, *Russkaja Myśl*, *Oticczestwiennyja Zapiski*, *Dieło* i *Ustoi*. Zawiadujący bibliotekami zobowiązali się na piśmie, że nie będą udzielali tych pism i książek do użytku publicznego.

Szkoła snycerska w Zakopanem. Dnia 2 b. m. odbyło się tamże posiedzenie nadzorczego komitetu szkol-

nego, do którego z ramienia galic. Wydziału krajowego należy także dr. Chałubiński. Szkoła rozwija się bardzo pomyślnie i zyskała uznanie ministeryum oświaty, posiada liczny zasób książek naukowych i fachowych, narzędzi, warsztatów, sił nauczycielskich, pokaźną frekwencyę uczniów i — co najważniejsze — poparcie rządu, Wydziału krajowego i Towarzystwa tatrzańskiego. Nauczycieli jest ośmiu. Piąty rok istnienia szkoły wykazał znaczny postęp uczniów, których w r. ubiegłym było 57 (w r. 1879 tylko 16). Na rok następny zgłosiło się uczniów 70, skutkiem czego zostanie zakład znacznie rozszerzonym.

W szkole drogi żel. Warsz. Wied. i Warsz. Byd. na 70 miejsc zgłosiło się 220 samych ukwalifikowanych kandydatów. W tej liczbie ilość dzieci służących na kolei, a więc mających pierwszeństwo, równa się prawie liczbie miejsc.

Dyrektorem fundacyi skarbkowskiej w Galicyi mianowany został na przeciąg lat dwu Tadeusz Langie, poseł na sejm krajowy. Następca p. Kövesza znanym jest nietylko jako dzielny agronom i ekonomista, ale niemniej jako prawy obywatel. Nominacya tylko dwuletnia wydana na wyraźne życzenie p. Langiego.

Dwie polki otrzymały w r. b. stopnie licencyackie na wydziale nauk fizyczno-chemicznych Sorbonny: pani Marcela z Wścieklicków Abakanowicz, żona znanego technika i literata i panna Zofia Tomaszewicz, siostra doktorki, pani Dobrskiej.

Dr. Adamkiewicz, profesor z Krakowa, obrany został na kongresie lekarzy w Kopenhadze prezesem honorowym sekcyi neuropatologicznej.

Franciszek Liszt zaniewidział zupełnie. Nieszczęście to od dosyć już dawnego czasu groziło znakomitemu muzykowi.

Pomnik Puszkinowi wzniesiony został w bieżącym tygodniu w Petersburgu. Poeta przedstawiony jest w postawie stojącej, z założonemi rękami, z książką pod pachą.

Mapę poglądową Galicyi, na wzór takiejże karty Królestwa Polskiego, ma wykonać w przeciągu dwóch lat p. Wójcicka, która przedstawi nam następnie w tenże sam sposób W. Ks. Poznańskie.

Uniwersytet wiedeński liczył w ostatnim półroczu 4814 słuchaczów, a w ich liczbie 475 z Galicyi, która samych medyków dostarczyła 229.

Gospodarka pruska w Poznaniu. Tablice z nazwami ulic w językach polskim i niemieckim zostały zdjęte i zastąpione napisami tylko niemieckimi.

Alliance israelite wiedeńska rozpisała konkurs na pięć stypendyów po 200 złr. dla młodzieży żydowskiej, chcącej kształcić się w zawodzie rolniczym w szkole w Dublanach, albo w innym tego rodzaju zakładów w Galicyi. Krok naprzód — godzien zaznaczenia.

Kwestya chleba. Niższych i wyższych urzędników w dyrekcyi generalnej zarządu kolei skarbowych w Austryi jest razem z prezydentem przeszło 750. Między nimi zaś 15 polaków, czyli 2% liczby ogólnej, zamiast 26%, jakby nakazywała słuszność.

Liczba małżeństw w Galicyi spadła z 56,314 (r. 1882) na 49,540 (1883). więc o 6,774 czyli 12%. Liczba urodzeń spadła z 278,415 na 269,004, czyli 3,4%, zmarło zaś osób 207,309, czyli o 9,702 mniej, niż w r. 1882.

„Nana“ Suchorowskiego sprzedaną została za 105 tysięcy franków.

Względy dla masonów. Bulla papieska, wyklinająca z kościoła wszystkich wolnych mularzy, została przez kongregacyę św. inkwizycyi zawieszoną na przeciąg jednego roku. Należy się spieszyć z żądaniem odpuszczenia grzechów, bo termin upływa w dniu 20 kwietnia roku następnego.

Ekscelencya Grocholski — rewolucyonistą. Ósmy tom *Leksykonu* Brockhausa, świeżo właśnie wydany, poucza niemców, że prezes Koła polskiego w Wiedniu, p. Grocholski, jest ni mniej ni więcej, tylko *„Urheber der galizischen Revolution vom J. 1868.“* Z sławnej „rezolucyi,“ zrobiono niebywałą rewolucyę i błąd ten powtórzono kilkakrotnie. Bodaj to *Gründlichkeit!*..

Zaburzenia antisemickie miały miejsce w powiecie rowieńskim w gub. wołyńskiej.

Powrót z Ameryki. Krakowska *Reforma* donosi, że coraz częściej widzieć można na dworcach kolejowych chłopów, powracających zza oceanu. Jednogłośnie stwierdzają oni, że stan włościan naszych w nowym świecie jest do najwyższego stopnia opłakanym.

Towarzystwo literacko-słowiańskie w Wrocławiu, istniejące lat 48, liczyło w roku ubiegłym 22 członków. Na 12 posiedzeniach odczytano i krytykowano 7 rozpraw. Sekcya historyczno-filologiczna odbyła posiedzeń 9, poświęconych rozbiorowi pism Kochanowskiego, głównie „Sobótki.“ Biblioteka Towarzystwa liczy obecnie dzieł 2066.

„Zgoda,“ stowarzyszenie polaków w Wiedniu, wybrała po nieumotywowanem ustąpieniu dotychczasowego — nowy wydział. Przewodniczącym obrany został p. Grzegorz Smólski, dziennikarz.

Edward Jelinek rozpoczął wydawnictwo w Pradze p. t. *Polska biblioteka.* Tekst będzie polski, uwagi po czesku, słowniczek polsko-czeski. Zeszyt I: „Pan Geldhab“ Al. hr. Fredry.

Literatura łużycka. Redaktor *Łużicy*, dr. Muka, wydaje z pomocą akademików serbsko-łużyckich zbiór pism nieżyjącego poety, Andrzeja Zejlera. Dwa tomy już wyszły, trzeci pod prasą, wszystkich będzie pięć. Do najlepszych utworów Zejlera należą humorystyczne *Czmiely a wosy* (w tomie I), tudzież *Poczasy* (pory roku), *Serbski kwas* (wesele) i *Wienc hórskich spiewow* (w t. II). Tom broszurowany kosztuje 4 marki, pięknie oprawny 5 m. Od rozsprzedaży pierwszych dwóch zależy wydanie następnych tomów. Do pierwszego dodano portret poety i nuty do dwunastu pieśni, do piątego dołączony będzie życiorys.

Macierz polska. Sprawozdanie z r. 1883 wykazuje następujące dochody: datki od korporacyj i osób prywatnych 2,543 złr. 51 ct., zapomoga Wydziału krajowego 1,500 złr., dochód ze sprzedaży wydawnictw i z przedpłaty na czasopismo ludowe 1,050 złr., odsetki od efektów 1,810 złr. 99 ct., razem 6,904 złr. 50 ct. Wydatki: należytość rządowa 2298 złr., koszta druku wydawnictw 3,031 złr., honoraryа autorskie 1,615 złr., na cele fundacyi do rozporządzenia rady wykonawczej 1,940 złr., zasiłki naukowe dla młodzieży 500 złr., wydatki adm. 102 złr. 43 ct., razem 9.486 złr. 43 ct.

Uniwersyty w Europie. Podług dzieła Bracchelego p. t. *Państwa europejskie* najwięcej uniwersytetów posiadają Niemcy—22 z 2001 profesorami i 25 442 studentami. Austrya ma uniwersytetów 10 (dziś już z czeskim 11) z 979 profesorami i 15,573 stud., Anglia (razem z t. z. kolegiami) 15 z 500 profesorami i 18,170 st., Francya fakultetów prawnych 13, medycznych 11, szkół medycznych przygotowawczych 15 i 30 fakultetów ès sciences et lettres z 1184 profesorami i 15,516 stud. Ma Francya nadto 5 wszechnic katolickich, chylących się ku upadkowi. Włochy mają 17 uniwersytetów państwowych i 4 wolne z 1655 profesorami i 12,728 studentami, Rosya uniwersytetów 8 z 709 profesorami i 10,305 stud., Dania, Szwecya i Norwegia 4 z 243 profesorami i 3,425 stud., Holandya 5 z 192 profesorami i 1,685 st., Belgia 4 z 253 prof. i 4072 stud., Szwajcarya 6 z 375 prof. i 2031 stud., Hiszpania 10 z 475 prof. i 13,712 stud., Rumunia 2 z 87 profesorami i 693 studentami. Portugalia ma 1 uniwersytet, toż samo Grecya, Serbia i Turcya.

Oświata w Austro-Węgrzech. Wedle ostatnich obliczeń umie pisać i czytać: w Przedarlanii 82,3%, w Austryi dolnej 76,9, Austryi górnej 76,2, Czechach 72,9, Tyrolu 70,2, Salzburgu 70, Morawie 67,3, Szląsku 61,9, w Tryeście 57,9, Styryi 54,4, Gorycyi Gradysce 49,3, Karyntyi 45,9, Krainie 28,4, Istryi 19,7, *Galicyi 11,3*, Dalmacyi 9,6, Bukowinie 9,1. W krajach korony węgierskiej: w Węgrzech 46,2%, w Kroacyi i Sławonii 29, w b. Pograniczu wojskowem 22. Szkół elementarnych jest w Przedlitawii 15,989, w Zalitawii 15.652.

Prasa polityczna w Austryi. W r. 1883 ostemplowano w Austryi 110,363,488 egzemplarzy dzienników politycznych (o 1,575,414 więcej, niż w r. 1882), z tego w Galicyi 2,976,809 egz. Wydawcy nie dają jednak całego nakładu do stempla, ale sprzedają pokryjomu także nieostemplowane egzemplarze. Biorąc miarę ze stosunków galicyjskich, można przypuścić, że wybito w Austryi o jakie 30 milionów egz. więcej, niż podaje statystyka urzędowa. Pism politycznych zagranicznych sprzedano 1,695,671 egz. (o 139,485 więcej, niż w r. 1882), z tego w Galicyi 105,776 egzemplarzy.

Żydowski protestantyzm. Petersburska gazeta *Echo* donosi o powstaniu w Elizawetgradzie racyonalistycznej sekty żydowskiej: *Bractwo duchowno-biblijne.*

Odezwa do rusinów zamieszczona w nrze 80 *Diła* zaczyna się tak: „Rodacy! 10 lat już temu, jak stowarzyszenie „Ruska Biesieda“ założyła fundusz na zbudowanie „Narodnego Domu“ i zebrała 2000 złr.“

Próby kierowania balonem odbyte w Meudon pod Paryżem przez kap. Renarda dały podobno świetne rezultaty.

Kronikę Nestora przełożył na język francuski i opatrzył dopiskami znany slawista Ludwik Leger.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pr. Tak, ale zarazem uwaga. Zdziwiłbyś się Pan zapewne, gdyby ktoś nieznajomy zapytał na ulicy, czyś Pan był na wystawie paryskiej? Podobnego wrażenia doznaliśmy, odebrawszy pytanie pańskie bezimiennie.

II. Nemo. Nie dla nas. Wiersz w budowie, zwłaszcza w rytmie, ułomny, w treści pospolity.

Niewieslawie. Naturalnie.

Z. w Obodówce. Opłacone do 1 października.

OFIARY.

Dla powodzian. Zebrane w dobrach Kijany: J. Eichler rs. 1, W. Freyer rs. 1, F. Mathewes rs. 1, Preus rs. 1, J. Witczyk kop. 50, J. Glücksman rs. 1, M. Pacanowski rs. 1, A. Kleczewski rs. 1, B. Minkler rs. 1, W. Chomiak kop. 50; Nauczycielka polka z po za Uralu na Galicyan rs. 10, X. z Mohylewa guber. rs. 10, Marya M. z Kowal rs. 2, Dr. Gar rs. 1, Zofia Janiszewska kop. 50, Dr. O. rs. 1—z Czehiryna.

Dla biednych uczniów. J. Modliński z Niemiec kop. 50, Bezimiennie rs. 20.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Августа 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.